

NOWE ŻYCIE

dolnośląskie pismo

Religia
Społeczeństwo
Kultura

Rok XXV Nr 10 (409)

Październik 2008



Jan Paweł II – wychowawca młodych

**W 60 rocznicę prymasostwa
kard. Stefana Wyszyńskiego**

Kombonianin z Brazylii

Matka i syn

KS. ANTONI KIELBASA SDS

Henryk Pobożny nie był najstarszym synem Henryka Brodatego i Jadwigi. Jego młodość i dzieciństwo przebiegały w atmosferze chrześcijańskiej. Oddziaływanie matki i dworskich opiekunek, a także akceptowanie chrześcijańskiego wzoru rycerza i władcy, wpływało na ułożenie dobrych stosunków między dziećmi i rodzicami. Na charakter młodego Henryka miała bezpośredni wpływ jego matka. Ulegały jej nie tylko dzieci, ale także mąż, Henryk Brodaty, i pozostali domownicy, stale pouczeni przez Jadwigę oraz nakłaniani do pogłębiania życia religijnego.



Racje polityczne ojca zdecydowały, że poszukano mu żony na dworze króla czeskiego Przemysława Ottokara I, którego córka na długo przed ślubem była wychowywana przez św. Jadwigę na dworze wrocławskim. Toteż, jak się później okazało, obydwie będą się doskonale rozumiały i wzajemnie sobie pomagały. Jadwiga powierzała Annie swoje sekrety. Dobre kontakty pomiędzy świętą a synową, dla których Śląsk był nową ojczyzną, umacnia nasze przekonanie, że panowała tam atmosfera zgody i twórczej pracy. Małżeństwo Anny z Henrykiem okazało się harmonijne i bogate w potomstwo. Z dwanaściora dzieci, dziesięcioro przeżyło swego ojca.

Księżna matka miała wpływ na syna nie tylko w okresie jego dorastania, ale także po założeniu przez niego własnej rodziny.

W roku przejścia władzy przez Henryka Pobożnego (1238) hordy tatarskie zajęły Ruś Kijowską i zaczęły zagrażać Węgrom i Polsce. Książę Henryk był świadomy zbliżającego się niebezpieczeństwa. Pisywał listy do książąt niemieckich, cesarza króla czeskiego, domagając się szybkiej mobilizacji chrześcijan wobec ataku pogan. Wzywał pomocy zakonów rycerskich. Niestety, trwający nadal konflikt pomiędzy cesarzem a papieżem, w który zostały wciągnięte siły polityczne Europy, doprowadził do tego, że w najważniejszej chwili Henryk Pobożny został praktycznie osamotniony. Kiedy książę był już gotowy, aby z wojskiem wyruszyć na pole walki, Jadwiga radziła synowi – czytamy w *Legendzie większej* – aby poczekał jeszcze na wojska Waclawa, króla czeskiego. Henryk jej na to odpowie-

dział: *Kochana pani matko, nie mogę dłużej zwlekać, albowiem zbyt wielkie są jęki biednego ludu: dlatego muszę walczyć i wystawić życie aż po śmierć za wiarę chrześcijańską.*

Jego bohaterska śmierć 9 IV 1241 r. została odpowiednio wykorzystana przez współczesnych, którzy uznali Henryka za w pełni zasługującego na przydomek „Pobożny”. Znana jest powszechnie wypowiedź św. Jadwigi o synu, gdy dotarła do niej wiadomość o jego bohaterskiej śmierci. Jest ona podana w bulli kanonizacyjnej z 26 III 1276 r. Czytamy w niej: *Dziękuję Tobie, Panie Boże, że byłeś taki dobry dla mnie i dałeś mi takiego syna, który jak dobre dziecko za życia zawsze mnie kochał, szanował i nigdy w żaden sposób nie zasmucił.* W podobny spo-

sób pisał autor *Legendy większej*, dodając jeszcze słowa: *Choć bardzo by mnie cieszyło, gdyby nadal żył, to jednak mam większą radość z tego i przeżywam ją razem z nim, że on przez bohaterską śmierć mógł zjednoczyć się ze swoim Zbawicielem. Pokornie polecam Ci jego duszę.*

Według *Legendy większej* Henryk był człowiekiem oddanym Bogu i zawsze gotowym do dobrego działania. Jest fundatorem franciszkańskiego klasztoru św. Jakuba we Wrocławiu, gdzie postanowił też założyć szpital i klasztor Klarysek. Tylko przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu tych planów osobście zrealizować. Miał zamiar osadzenia benedyktynów w Krzeszowie. Plan ten zrealizowała dopiero jego żona, księżna Anna, w roku 1242.

Św. Jadwiga

Jadwiga urodziła się w 1178/1180 roku na zamku nad jeziorem Amer w Bawarii jako córka hrabiego Bertolda IV i Agnieszki, hrabiów Andechs, którzy tytułowali się również książętami Meranii, Krocacji i Dalmacji. Miała czterech braci i trzy siostry. Jedną wydano za Filipa, króla Francji, drugą zaś za Andrzeja, króla Węgier (była matką św. Elżbiety), trzecia wstąpiła do klasztoru. Jadwiga otrzymała staranne wychoowanie najpierw na rodzinnym zamku, potem zaś w klasztorze benedyktynek w Kitzingen nad Menem (diecezja Würzburg), znanym wówczas ośrodkiem kulturalnym. Do programu ówczesnych szkół klasztornych należała także nauka łaciny, haftów i malowania, muzyki i pielęgnowania chorych.

W roku 1190 Jadwiga przeniosła się do Wrocławia na dwór księcia Bolesława Wysokiego, gdyż została upatrzona na żonę dla jego syna, Henryka. Miała wtedy zaledwie 12 lat. Data ślubu nie jest bliżej znana. Nastąpił on jednak niebawem. Henryk Brodaty 8 listopada 1202 r. został panem całego księstwa. Rychło też udało mu się do dzielnicy śląskiej dołączyć dzielnicę senioratu, czyli krakowską, a także znaczną część Wielkopolski. Dlatego figuruje on w spisie władców Polski.

Henryk i Jadwiga stanowili wzorowe małżeństwo. Mieli pięcioro dzieci - dwóch synów: Bolesława i Henryka oraz trzy córki: Agnieszkę, Zofię i Gertrudę. Wkrótce jednak troje z nich zmarło. Ostatnich 28 lat pożycia małżeńskiego przeżyli małżonkowie wstrzemięźliwie, związani uroczystym ślubem czystości.

W swoim życiu Jadwiga dość mocno doświadczyła tajemnicy Krzyża. Przeżyła śmierć męża i prawie wszystkich dzieci. Jej ukochany syn, Henryk Pobożny, zginął jako wódz wojska chrześcijańskiego w walce z Mongołami pod Legnicą w 1241r. Wyczerpana surowym życiem mniszki, zmarła 14 października 1243 r. mając ponad 60 lat.

Źródło: www.katolik.pl



Pomnik Jana Pawła II na rynku
w Brzegu Opolskim.

Autor pomnika – Jerzy Bokrzycki

Fot. Krzysztof Kunert

NOWE ŻYCIE

dolnośląskie pismo katolickie

Religia – Kultura – Społeczeństwo
Miesięcznik

Rok XXV Nr 10 (409)
Październik 2008

Wydawca
Kuria Metropolitalna Wrocławska

Redaktor naczelny
ks. Piotr Nitecki

Zastępca redaktora naczelnego
Krzysztof Kunert

Sekretarz redakcji
s. Maria Faustyna Kontek

Redaguje zespół

Redakcja zastrzega sobie prawo
do skrótów, nie zwraca też
materiałów nie zamówionych.

Adres redakcji
ul. Katedralna 13
50-328 Wrocław, tel. 327-11-16

e-mail: nowezycie@archidiecezja.wroc.pl
www.nowezycie.archidiecezja.wroc.pl

ISSN 0233-4367

Druk
„Kontra”
Wysoka, ul. Chabrowa 5

Nakład: 9500 egz.

NOWE ŻYCIE

W numerze:

- 2 Kalendarz liturgiczny – październik 2008
- 2 Jan Paweł II – wychowawca młodych
Krzysztof Bramorski
- 4 Chrześcijańska pomoc bliźniemu
Jarosław Dudycz
- 6 60. rocznica śmierci Sługi Bożego
prymasa Augusta Hlonda
Tomasz Serwatka
- 9 „Ten nam się udał!”
Ks. Piotr Nitecki
- 10 Kombonianin z Brazylii
Rozmowa z ks. Tomaszem Markiem
- 12 Spotkanie Boga w Piekielnej Dolinie
Mateusz Godek
- 15 Nauczyciel, o jakim każdy z nas marzy
Ewa Szuszkiewicz
- 17 Pierwszy Festiwal Opery Współczesnej
we Wrocławiu
Barbara Juśkiewicz
- 18 Judaizm w czasach Jezusa
Piotr Sutowicz
- 20 Dlaczego jedni wierzą, a inni nie?
*Z ks. Januszem Czarnym
rozmawia Bożena Rojek*
- 21 „Okruszek”
- 24 Krzyżówka
- okł. II Matka i syn
Ks. Antoni Kiełbasa SDS
- okł. III Rodło promieniuje z Wrocławia
Tadeusz Szczyrbak



KALENDARZ LITURGICZNY

Październik 2008

- 1 Śr. Św. Teresy od Dzieciątka Jezus
Hi 9, 1-12. 14-16; Łk 9, 57-62.
- 2 Cz. Świętych Aniołów Stróżów
Wj 23,20-23; Mt 18,1-5.10.
- 3 Pt. Piątek XXVI Tygodnia Zwykłego
Hi 38, 1. 12-21; 40, 3-5; Łk 10, 13-16.
- 4 S. Św. Franciszka z Asyżu
Hi 42, 1-3. 5-6. 12-17; Łk 10, 17-24.
- 5 N. **XXVII Niedziela Zwykła**
Iz 5, 1-7; Flp 4, 6-9; Mt 21, 33-43.
- 6 P. Poniedziałek XXVII Tygodnia Zwykłego
Ga 1, 6-12; Łk 10, 25-37.
- 7 Wt. NMP Różańcowej
Dz 1, 12-14; Łk 1, 26-38.
- 8 Śr. Środa XXVII Tygodnia Zwykłego
Ga 2, 1-2. 7-14; Łk 11, 1-4.
- 9 Cz. Bł. Wincentego Kadłubka
Ga 3, 1-5; Łk 11, 5-13.
- 10 Pt. Piątek XXVII Tygodnia Zwykłego
Ga 3, 7-14; Łk 11, 15-26.
- 11 S. Sobota XXVII Tygodnia Zwykłego
Ga 3, 22-29; Łk 11, 27-28.
- 12 N. **XXVIII Niedziela Zwykła**
Iz 25, 6-10a; Flp 4, 12-14. 19-20; Mt 22, 1-14
albo Mt 22, 1-10.
- 13 P. Bł. Honorata Koźmińskiego
Ga 4, 22-24. 26-27. 31 - 5, 1; Łk 11, 29-32.
- 14 Wt. Wtorek XXVIII Tygodnia Zwykłego
Ga 5, 1-6; Łk 11, 37-41.
- 15 Śr. Św. Teresy od Jezusa
Ga 5, 18-25; Łk 11, 42-46.
- 16 Cz. Św. Jadwigi Śląskiej
Prz 31, 10-13. 19-20. 30-31; 1 Tm 5, 3-10; Mk 3, 31-35.
- 17 Pt. Św. Ignacego Antiocheńskiego
Ef 1, 11-14; Łk 12, 1-7.
- 18 S. św. Łukasza Ewangelisty
2 Tm 4,9-17a; Łk 10,1-9.
- 19 N. **XXIX Niedziela Zwykła**
Iz 45, 1. 4-6; 1 Tes 1, 1-5b; Mt 22, 15-21.
- 20 P. św. Jana Kantego
Ef 2, 1-10; Łk 12, 13-21.
- 21 Wt. Św. Jakuba Strzemię
Ef 2, 12-22; Łk 12, 35-38.
- 22 Śr. Środa XXIX Tygodnia Zwykłego
Ef 3, 2-12; Łk 12, 39-48.
- 23 Cz. Czwartek XXIX Tygodnia Zwykłego
Ef 3, 14-21; Łk 12, 49-53.
- 24 Pt. Piątek XXIX Tygodnia Zwykłego
Ef 4, 1-6; Łk 12, 54-59.
- 25 S. Sobota XXIX Tygodnia Zwykłego
Ef 4, 7-16; Łk 13, 1-9.
- 26 N. **XXX Niedziela Zwykła**
Wj 22, 20-26; 1 Tes 1, 5c-10; Mt 22, 34-40.
- 27 P. Poniedziałek XXX Tygodnia Zwykłego
Ef 4, 32-5, 8; Łk 13, 10-17.
- 28 Wt. Św. Ap. Szymona i Judy Tadeusza
Ef 2, 19-22; Łk 6, 12-19.
- 29 Śr. Środa XXX Tygodnia Zwykłego
Ef 6, 1-9; Łk 13, 22-30.
- 30 Cz. Czwartek XXX Tygodnia Zwykłego
Ef 6, 10-20; Łk 13, 31-35.
- 31 Pt. Piątek XXX Tygodnia Zwykłego
Flp 1, 1-11; Łk 14, 1-6.

Jan Paweł II – wychowawca młodych

KRZYSZTOF BRAMORSKI

Szukał ich. A oni przychodzili do niego. Nie tylko wtedy, 2 kwietnia 2005 r. na plac św. Piotra. Przychodzili do niego właściwie przez wszystkie lata jego kapłańskiego życia. Najpierw do św. Floriana w Krakowie, potem na KUL, na Franciszkańską. Wreszcie do św. Piotra i wszędzie na całym świecie tam, gdzie on do nich wychodził, na nich czekał. Przychodzili do niego wtedy, gdy słuchał i radził w ich codziennych problemach. Przychodzili, gdy trudnym językiem mówił o ich ludzkiej kondycji, o odpowiedzialnej miłości, o ich godności i odpowiedzialności. Jechali z nim na splot kajakowy, trwali z nim na czuwaniu przy nowohuckim krzyżu.

Dlaczego tak wielu młodych ludzi nieustannie pragnęło bliskości Jana Pawła II? Dlaczego w świecie popkultury swoją ikoną uczynili kogoś, kogo wielu – przynajmniej na początku – stawiało poza nawiasem „nowoczesności”, tak głośno i natrączywie pożądanej przez młodych? Dlaczego szli do niego nadal, gdy coraz słabszy, coraz bardziej chory i stary, wydawał się być także coraz bardziej odległy od rozbawionej, kolorowej, nastawionej na konsumpcję młodzieży?

Pamiętam, że te pytania przychodziły mi na myśl tamtej nocy, na placu św. Piotra, kiedy Jan Paweł II odszedł do domu Ojca. Najpierw niesamowite wrażenie milczącego tłumu, wpatzonego w jasne okno na czwartym piętrze Pałacu Apostolskiego. Potem – w tym tłumie ogromną większość stanowili ludzie młodzi! W sobotni wieczór nie znaleźli się na dyskotekach czy w barach, lecz przyszli czekać przy umierającym Papieżu. Takie były też kolejne dni, aż do piątkowego pogrzebu, kiedy wśród tłumów oddających hołd Zmarłemu w bazylice św. Piotra dostrzec można było młodych z całego świata. Nieraz prosto z lotniska czy dworca przybyłych ustawić się w wielogodzinną kolejkę, żeby choć przez moment, po raz ostatni spojrzeć w oblicze swojego Ojca.

Ojciec. Chyba właśnie to słowo najlepiej oddaje stosunek, jaki istniał pomiędzy Janem Pawłem II a ludźmi młodymi. Jednak trzeba mówić o ojcostwie szczególnym, i to nie tyl-

ko dlatego, że istniało ono wyłącznie w wymiarze duchowym. Było to ojcostwo mądre, szanujące w młodych ludziach ich godność, czasem



Jan Paweł II z dziećmi

odrębność, potrzebę poszukiwania.

Młodzi ludzie w ważnym okresie rozwoju często odrzucają wskazania ojca, nie godząc się z jego rolą opartą na konwencji społecznej, a pozbawioną, niestety, fundamentu osobistego autorytetu. Postawiony w takiej sytuacji ojciec niejednokrotnie próbuje ratować swoją relację z dziećmi dokonując swoistej reorientacji swojego postępowania: skoro nie są akceptowane jego rady, zalecenia, a w końcu nakazy, liberalizuje swoją postawę, próbuje stać się „dobrym kumplem”, pozwalającym na wszystko i rezygnującym z zasad. Traci w ten sposób resztki pozycji – bo jakie oparcie może znaleźć w nim poszukujące oparcia i orientacji w świecie dziecko, skoro nagle zasady i wartości, do których najpierw przekonywał, a potem próbował narzucić, okazują się niewiele

VIII Dzień Papieski

warte i są poświęcane w imię fałszywie rozumianej rodzicielskiej miłości? To smutna charakterystyka kondycji współczesnej rodziny, jednak jej przywołanie wydaje mi się istotne dla znalezienia źródeł głębokiej relacji, jaka łączyła ludzi młodych z Janem Pawłem II.

Nie była to bowiem relacja łatwa. Przede wszystkim dlatego, że Jan Paweł II nigdy nie stawiał łatwych zadań – ani sobie, ani tym, do których był posłany. *Musicie od siebie wymagać* – mówił do młodych na Westerplatte, przywołując wezwanie wygłoszone wcześniej na Jasnej Górze – *Musicie od siebie wymagać nawet, gdyby inni od was nie wymagali!* Tylko wymagając od siebie, wbrew powszechnemu przyzwoleniu na „pójście na łatwiznę”, można bowiem przyjąć i realizować inne papieskie wezwanie – by „więcej być” zamiast „więcej mieć”. *Dzisiejsze „więcej być” młodego człowieka to odwaga trwania pełnego inicjatywy – nie możecie z tego zrezygnować, od tego zależy przyszłość każdego i wszystkich – trwania pulsującego świadectwa wiary i nadziei. „Więcej być” to na pewno nie ucieczka od trudnej sytuacji* – mówił Papież.

Jednocześnie jednak młodzi wyczuwali, z jak wielkim szacunkiem podchodził do nich Jan Paweł II. *Stając pośród was, wołam razem z psalmistą: oto „ziemia wydała swój owoc”, owoc najcenniejszy: człowieka, ludzką młodość* – mówił do nich Jan Paweł II, przybywając na Światowy Dzień Młodzieży w Santiago de Compostela w 1989 r. Ten, który do krytykowanych, pozbawianych perspektyw, odsądzanych od czci i wiary za brak zaangażowania w „życie społeczne” mówił: *Wy jesteście nadzieją świata, narodu, Kościoła*

...Jesteście moją nadzieją! – otrzymywał od nich prawo pytania – jak w Hiszpanii: *Czy już odkryłeś Chrystusa, który jest Drogą? Który jest Prawdą? Który jest życiem? Czy jesteście gotowi z największą troską strzec życia ludzkiego?* Dwa lata później, w Częstochowie, Jan Paweł II mocno postawił sprawę świętości, odpowiedzialności i wolności. Mówił o prawdzi-

Ojciec. Chyba właśnie to słowo najlepiej oddaje stosunek, jaki istniał pomiędzy Janem Pawłem II a ludźmi młodymi. Jednak trzeba mówić o ojcostwie szczególnym, i to nie tylko dlatego, że istniało ono wyłącznie w wymiarze duchowym. Było to ojcostwo mądre, szanujące w młodych ludziach ich godność, czasem odrębność, potrzebę poszukiwania.

wej i fałszywej wolności, która prowadzi do zniewolenia. Mówił o walce z kłamstwem, w której to młodzi – tak wyczerzeni na wszelkie przejawy fałszu i zakłamania – mają być świadkami wielkich rzeczy, które im Pan uczynił.

Szacunek, bezpośredniość, szczerość i miłość, z jakimi zwracał się do młodych Jan Paweł II były przyczyną, że kiedy niektórzy wieszczyli już fiasko porozumienia starego Papieża z młodymi, na podrzymskim Tor Vergata znowu stały się dwa miliony młodych ludzi z całego świata by słuchać, co ten Stary Człowiek ma im do powiedzenia. A on nie tylko dał ponieść się ich entuzjazmowi, potrafił wraz z nimi modlić się i śpiewać. Przede wszystkim po raz kolejny jasno i otwarcie umiał powiedzieć

im o konieczności dokonywania w życiu stanowczych wyborów, o tym, że muszą odpowiedzieć sobie na pytanie o własne powołanie w życiu: do kogo się udać, za kim pójść, komu zawierzyć. Pokazał im Eucharystię jako centrum życia i tajemnicę obecności w nim Jezusa Chrystusa.

Jan Paweł II do końca pozostał wierny swojemu odpowiedzialnemu umiłowaniu młodzieży. Nie przyjechał już na XX Światowy Dzień Młodzieży do Kolonii. Pozostawił jednak swoje nań przesłanie: wezwanie do ofiarowania Bogu wolności naśladowania go z miłości, modlitwy uwielbienia i wdzięczności za umiłowanie człowieka aż do śmierci. Przestrożę, by nie wierzyć w mit łatwego sukcesu i władzy. By nie szukać

Boga tam, gdzie go nie ma, lecz pozostać mu wiernym, gdyż tylko On naprawdę prawdziwego szczęścia człowieka.

Patrząc dziś na Jana Pawła II, powoli potrafimy dostrzegać fenomen jego doskonałego kontaktu z młodymi ludźmi. Mówiąc o nim jako o wychowawcy młodych zaczynamy rozumieć, że nie mógłby trafić do nich z najśluszniejszym przesłaniem, gdyby całe Jego życie i Jego postawa wobec nich nie były autentyczne i nacechowane partnerskim szacunkiem wobec trudnego nieraz rozmówcy. Jan Paweł II żądał od młodych rzeczy wielkich. Stawał przed nimi, by rzucać im wyzwania godne ich misji i znaczenia dla przyszłości świata: *Pracować wielkodusznie nad budową społeczeństwa odznaczającego się stałym poszukiwaniem sprawiedliwości, zgody, solidarności i pokoju. Są to zadania ogromne, wymagają serc nieustraszonych, zdolnych uwierzyć nadziei. Czy podobne zadanie odważył się postawić przed młodymi którykolwiek inny przywódca? A jak wielu ubolewa ciągle nad upadającą kondycją współczesnej młodzieży?*

Warto więc spojrzeć z uwagą nie tylko na to, co Jan Paweł II przekazał młodym, ale także na to, jak do nich się zwracał. Niejeden chrześcijański wychowawca winien przejrzeć się najpierw w papieskim jak, by móc później umieć skoncentrować się na tym, co powinien nieść powierzona jego trosce młodzieży. Trochę przewrotnie zatem przyjrzymy się z okazji VIII Dnia Papieskiego nie tyle samym młodym, co tym, po których działaniu tyle sobie od tych młodych obiecujemy.



Fot. Cezary Chwiliński

Młodzież z całego świata w Sydney, podczas zainicjowanych przez Jana Pawła II Dni Młodzieży

Chrześcijańska pomoc bliźniemu

JAROSŁAW DUDYCZ

Pomoc drugiemu człowiekowi, obok życia sakramentalnego i duchowości liturgicznej, stanowi trzon życia chrześcijańskiego, na co jednoznacznie wskazuje Jezus Chrystus, który, nie dość, że sam pomaga współczesnym sobie bliźnim, którzy znaleźli się w potrzebie i którym doskwiera wiele braków, i niepokojów, to ponadto czyni obowiązek pomocy bliźniemu pewnym przesłaniem dla człowieka każdej epoki i każdego miejsca. Stwierdzenie Mistrza *Byłem głodny, a daliście mi jeść* staje się zadaniem stojącym przed każdym wyznawcą Chrystusowej nauki, nie tylko bowiem należy posilać się Ciałem Pana, partycypować w Eucharystycznej wspólnotcie, nawracać się i czynić pokutę, należy przy tym również dar, który Zbawiciel powierza człowiekowi, a którym to darem jest przecież sam Jezus Chrystus, widzieć w perspektywie pewnej misji do zrealizowania: chrześcijanin musi nakreślić sobie piękny cel, jakim jest wydanie się bliźniemu, tak jak Chrystus wydaje się ludzkości. Dar Eucharystii ze swojej natury jest więc bardzo wylewny, rozszerza się na cały świat w przedziwnej i zdumiewającej ekonomii: niczego nie zatrzymywać dla siebie, nie chronić niczego, co własne, ale być gotowym do absolutnego otwarcia na drugiego człowieka.

W ostatnich latach bardzo popularne stały się rozmaite inicjatywy filantropijne, które, zdyskontowane przez media, urastają z wolna do pewnej atrakcji społecznej i, reklamowane z wielką intensywnością, zostają uznane za element modnego stylu życia. Gazety i ekrany telewizorów niosą przesłanie naszych czasów i naszej cywilizacji: pomaganie jest trendem społecznym i kulturowym, z którego nie sposób zrezygnować, w przeciwnym razie łatwo jest narazić się na towarzyski, środowiskowy ostracyzm, a wręcz na pewną stygmatyzację i zarzut naruszenia miru społecznego. Jakie formy pomocy są powszechnie cenione i co jest przyczyną takiej ich popularności?

Nie można ukrywać, że największą popularność i uznanie zdobywają obecnie takie zachowania charytatywne i pomocowe, które dają pozór jak największego zaangażowania w sprawę drugiego człowieka, przy jednoczesnym jednak poczuciu ogromnego dystansu do jego życia i jego spraw, co staje się źródłem ciekawego komfortu psychicznego i szansą zaspokojenia skłonności do czynienia dobra w najprostszym ich wyrazie. Wspieranie określonych form filantropijnych daje

możliwość przyglądania się, w jaki sposób rozdysponowane zostały środki przez nas podarowane danej organizacji, istnieje możliwość pełnego monitorowania, kto pomoc otrzymał i jak ją wykorzystał, przy tym zauważany jest jednak brak najmniejszego nawet pochylenia się nad konkretnymi sprawami konkretnego bliźniego, brak rozmowy i wsparcia, brak realnej, indywidualnej troski o życie i problemy potrzebującego. Mamy do czynienia z nader ochoczym zrzucaniem odpowiedzialności na organizacje pożytku publicznego i prowadzące dzieła miłosierdzia,

Mamy do czynienia z nader ochoczym zrzucaniem odpowiedzialności na organizacje pożytku publicznego i prowadzące dzieła miłosierdzia, w miarę często przekazujemy swoje datki na potrzeby tychże placówek, angażujemy się w liczne, zinstytucjonalizowane programy i inicjatywy, wszystko to jednak ma charakter bardzo „na odległość”, bardzo temu daleko do miejsc, realiów i okoliczności, w których rozgrywa się dramat człowieka.

w miarę często przekazujemy swoje datki na potrzeby tychże placówek, angażujemy się w liczne, zinstytucjonalizowane programy i inicjatywy, wszystko to jednak ma charakter bardzo „na odległość”, bardzo temu daleko do miejsc, realiów i okoliczności, w których rozgrywa się dramat człowieka. Przekazanie pieniędzy zostaje wyrzute z jakiegokolwiek rzetelnej i solidnej troski o osobę ludzką, gest wręczenia koperty, czeku, gest wpłaty na konto odbywa się, niestety, poza kontaktem z bliźnim. Widzimy zatem jak daleki duchowi autentycznie chrześcijańskiej pomocy jest lansowany przez media program filantropii, jak daleko inicjatywy takiego charakteru, jak Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy czy Adopcja na Odległość są od form pomagania bliźniemu, które chrześcijanin cenić powinien i które powinien wypełniać nie ze względu na dyktat mediów, mody czy opłacalności, lecz ze względu na czyni Chrystusa.

Oczywiście, nie wolno nie zauważyć, że te wszystkie programy i przedsięwzięcia, które w tym miejscu poddajemy krytyce, niosą realną korzyść realnie żyjącym osobom i często przynoszą faktyczną ulgę w ich, niejednokrotnie ogromnych, cierpieniach i traumach, nie mogą jednak być, z punktu widzenia pewnej dydaktyki, cenione nade wszystko, bowiem nie czynią sposobności do pięknego, osobistego kontaktu z bliźnim, co zawsze jest najidealniejszą formą pomocy. Dzieci w wieku szkolnym na pewno cieszy możliwość, dawana między innymi szkolnej klasie, adopcji, jak to się mówi, „na odległość” afrykańskiego dziecka, warto jednak uzmysławiać

sobie, że nie mamy tutaj do czynienia z jakimś modelem dobrego zachowania, z jakimś schematem pomocowym, ale z żywym człowiekiem, którego życie w Afryce jest często pasmem tragedii, udręk i braku stabilności materialnej i uczuciowej. Pięknym pomysłem jest, aby tym dzieciom fundować żywność, lekarstwa i edukację, jak jednak widzieć wszelakie więzi, które się tworzą między adoptującymi a tym przysposobionym Afrykańczykiem? Czy

64 Tydzień Miłosierdzia

ktokolwiek pomyślał, cóż wtedy, jeśli dzieciom znudzi się pomoc Murzynkowi Bambo, który mieszka gdzieś na Czarnym Łądzie i o którym wiedzą tylko tyle, ile on sam im zechce o sobie napisać? Dzieciom w wieku szkolnym dobre chęci i motywacje mijają bardzo szybko, młodość, a tym bardziej dzieciństwo charakteryzują się słomianym zapalem i niestabilnością deklaracji, nie może w takim razie dziwić, że któregoś dnia szkolnej klasie znudzi się, najwyżej w świecie, utrzymywanie kontaktów z przyjacielem z Afryki, prędko o nim zapomną, przestaną pisywać listy, dbać o jego potrzeby emocjonalne, stracą wiedzę o jego życiu i zajęciach. Najdłużej pewnie posyłane będą pieniądze, będzie to jednak stan bardzo chłodny i uczuciowo wygaszony: zimnemu i wyabstrahowanemu z miłości transferowi środków pieniężnych do Afryki nie będzie towarzyszyła głęboka troska o człowieka i jego potrzeby. Czy wzięły te prawdy pod uwagę organizatorzy Adopcji Serc? Cóż wtedy, jeśli młody Europejczyk przestanie interesować się swoim afrykańskim kolegą? Czy nie jest

prostu, wysłać pieniądze bez żadnych pozorów, że interesuje nas życie bliźniego? Może warto, jeśli nie ma gwarancji solidności relacji międzyludzkiej, przestać na lapidarnym datku wpłaconym na konto bez całej tej nadbudowy i ideowego szumu?

Dzieła miłosierdzia, które prowadzi Kościół katolicki, takie, jak chociażby Caritas, są godne pochwały i uznania. W tej materii nie pozostają w tyle również inne wspólnoty chrześcijańskie, Kościół prawosławny i Kościół ewangelicko-augsburski, których Eleos i Diakonia świadczą bardzo kompleksową pomoc człowiekowi dotkniętemu rozmaitymi trudnościami życiowymi.

Statystyki świadczą o tym najlepiej: olbrzymie rzesze ludzi korzystają z doraźnej bądź trwałej pomocy charytatywnej świadczonej przez

żenie, poruszać umysły ludzi, skłaniać ich do zaangażowania się w rzeczony projekty. Wiele jest kampanii medialnych i społecznych, które do wsparcia

Jezus Chrystus, kiedy tylko przyszło mu zetknąć się z człowiekiem proszącym o pomoc, zawsze patrzył o wiele głębiej, niż wynikałoby to z treści wypowiedzi potrzebującego. Nie zatrzymywał się na poziomie słów wskazujących na konkretną niedyspozycję, dolegliwości zdrowotne, czy upośledzenie, lecz przypatrywał się także formie psychicznej i kondycji duchowej. Rozpoznawał grzech człowieka i to w nim widział podstawę całej marności ludzkiego życia i przyczynę wszelkich niepowodzeń, i kłopotów, z którymi człowiek się boryka.

tychże przedsięwzięć nakłaniają. Dlaczego zatem, jak to już wyżej napisałem, poparcie organizacji charytatywnej nie powinno wystarczać chrześcijaninowi za całą jego pomoc bliźniemu?

Powszechna stała się ostatnimi czasy akcja zatyłowana „Nie dawaj na ulicy”, którą popularyzuje plakat przedstawiający rękę wrzucającą monety do dziurawego kapelusza żebraka. Jakże wymowny jest to gest i symbolika: dziurawy kapelusz, przez który przesypują się monety, oznacza człowieka, który pomoc finansową otrzymał, ale albo nie umiał z niej właściwie skorzystać, trwoniąc na niepotrzebne i szkodliwe cele, takie, jak chociażby alkohol, albo był zwyczajnym oszustem, który pieniądze wyłudził. Akcja, o której mowa, ma klarowny wydźwięk: wręczanie pieniędzy proszącym o nie na ulicy jest niebezpieczne, można łatwo paść ofiarą oszustów i różnej maści hochsztaplerów, lepiej zatem i efektywniej wesprzeć organizację charytatywną, która pieniądze rozdysponuje bardziej systemowo, przeznaczając je na potrzeby prawdziwie potrzebujących. Jako chrześcijanie i osoby racjonalnie myślące musimy jednak widzieć luki i manowce takiego sposobu myślenia. Oto one:

Człowiek proszący na ulicy o pieniądze nie może być traktowany jako potencjalny oszust, którego celem jest tylko i wyłącznie wyłudzić pieniądze, aby w ten sposób zdobyć środki na pozyskanie mało pożytecznych używek,



Fot. Krzysztof Kunert

Siostry zakonne często pracują bezinteresownie, wspomagając potrzebujących.

to zbyt wielka odpowiedzialność, zbliżyć do siebie dzieci, mówić im o konieczności interesowania się życiem innych, gdy tymczasem wszystko to zostaje jednocześnie wpisane w jakiś system akcji precyzyjnie zorganizowanej i zaplanowanej, związanej z pieniędzmi, a więc łatwo mogącej się w każdym momencie zakończyć? Do jakiego momentu klasa szkolna adoptuje potrzebujące dziecko? Do momentu zakończenia roku szkolnego, do czasu ukończenia edukacji? A co dalej? Może łatwiej, po

te organizacje, posilają się w specjalnie zorganizowanych kuchniach, otrzymują szerokie wsparcie finansowe, pomoc medyczną i konieczną opiekę. Na tym polu zarysowują się również inicjatywy świeckie, państwowe czy pozarządowe projekty i pomysły, które gotowe są wychodzić naprzeciw tym wszystkim, których życie jest mniej udane zorganizowane, bardziej chaotyczne, dotknięte różnymi skazami i niedostatkami materialnymi. Ten potężny ogół inicjatyw filantropijnych musi robić wra-

Chrześcijańska pomoc bliźniemu

Dokończenie ze str. 5

na przykład na zakup alkoholu. Człowiek, który podchodzi do nas z prośbą o datek, jest, jak się musi wydawać, w autentycznie trudnej sytuacji życiowej, jego prośba zatem, jakkolwiek może na poziomie doraźnym być pospolitym oszustwem, wskazuje na prawdziwie niełatwą i smutną historię życiową, jaka jest udziałem rzeczonej osoby. Antoni Kępiński, polski psychiatra i humanista, przychodzi nam tutaj ze swoją świetną, naukową interpretacją: można z dużą dozą pewności stwierdzić, że osoba, która na ulicy prosi o pieniądze, jest faktycznie potrzebującym, a nie wyłącznie oszustem, jest bowiem prawdą, że boryka się z jakimś kłopotem i problemem ten, kto wykonuje czynności na ogół w społeczeństwie nie uznane za zwyczajne, nie otrzymujące społecznej legitymizacji i nie zaliczane do społecznie aprobowanych schematów funkcjonowania. Łatwo dostrzec, że polski psychiatra się nie myli, żaden żebrzący nie zdobywałby się na kwestowanie w miejscu publicznym dla prosto rozumianego oszustwa, dla kaprysu czy rozrywki. Nawet, jeśli przyświeca mu wyłudzenie pieniędzy, to dociekać należy, co się kryje za jego motywacjami i złymi skłonnościami, czy nie poważne życiowe kłopoty, problemy i taki splot zdarzeń, który go teraz popycha ku zachowaniu dość niestandardowym, bo za takie uznać należy, patrząc przez pryzmat konwenansu, żebranie.

Zatem spotkanie z osobą, która w miejscu publicznym prosi o datek finansowy, opowiadając bardzo rozmaite historie życiowe, które ofiarę pieniężną mają uczynić zasadną, jest spotkaniem z żywym człowiekiem, złożonym z realnych uczuć, przeżyć i emocji, a także z niezbywalnej godności ludzkiej, którego obecność na ulicy wynika z pewnej patologii, z którą on się boryka. Rolą chrześcijanina musi być dotarcie do tej patologii, zaryzykowanie pomocy, rozmowy, precyzyjnych pytań, choćby konsekwencją takiej działalności była jawna niechęć, a wręcz agresja ze strony potrzebującego. Nie wolno, tylko dlatego, że tak ostrzeża kampania społeczna, nie podjąć pewnej chrześcijańskiej próby i śmiałych rozwiązań, nie wolno nie zwrócić uwagi na człowieka, który prosi o pomoc, nie wolno nie zainicjować zbliżenia i spotkania. Gest wręczania pieniędzy jest gestem wyciągniętej ręki ku bliźniemu, warto nie cofać tej ręki zbyt pośpiesznie i w popłochu.

Jezus Chrystus, kiedy tylko przyszło mu zetknąć się z człowiekiem proszącym o pomoc, zawsze patrzył o wiele głębiej, niż wynikałoby to z treści wypowiedzi potrzebującego. Nie zatrzymywał się na poziomie słów wskazujących na konkretną niedyspozycję, dolegliwości zdrowotne czy upośledzenie, lecz przypatrywał się także formie psychicznej i kondycji duchowej. Rozpознаwał grzech człowieka i to w nim widział podstawę całej marności ludzkiego życia i przyczynę wszelkich niepowodzeń, i kłopotów, z którymi człowiek się boryka. Chrystus Pan zatem dołącza do uzdrowienia ciała dar naprawy duszy ludzkiej, oczyszcza człowieka z grzechu i wskazuje na wiarę, której siła doprowadziła chorego do wyzdrowienia. Pomoc, z którą Jezus wychodzi ku drugiemu człowiekowi, ma charakter bardzo kompletny i zharmonizowany: zawiera troskę o wszystkie elementy ludzkiej egzystencji, jest świadoma, jak są one w człowieku zintegrowane, ponadto wie o ich charakterze komplementarnym, to jest nie pomija żadnego z nich i żadnego nie lekceważy.

Tak pojęta troska o potrzeby bliźniego powinna i nam, uczniom Pana, towarzyszyć każdego dnia naszego życia, w każdym kontakcie z bliźnim, względem każdej jego prośby o pomoc, choćby się nam owa wydawała próbą oszustwa i pobrzmiwała nieszczerze. Chrześcijanin musi podejmować ryzyko kontaktu z drugim człowiekiem. Kampanie społeczne i medialne tego kontaktu, niestety, nie akcentują.

JAROSŁAW DUDYCE

60. rocznica

22 października 1948 r. umarł dość nagle i niespodziewanie Prymas Polski, August kardynał Hlond. Miał zaledwie 67 lat. Kres jego życia położyły komplikacje po pozornie udanej operacji wyrostka robaczkowego. Stan medycyny był – jak wiemy – zaraz po wojnie dość kiepski, choć profesorowie klinik warszawskich silili się jak mogli, by uratować życie tak ważnej osoby. August Hlond był w trzech pierwszych latach PRL-u jakby nieformalną głową antykomunistycznej opozycji, najważniejszym autorytetem nie tylko dla Karola Popiela, księdza Kaczyńskiego, prof. Stanisława Grabskiego i Stanisława Mikołajczyka, lecz i dla „niezłomnej” emigracji w Londynie. Nigdy – mimo niedwuznacznych ofert „czerwonych” – nie pokazał się publicznie z Bierutem, co doprowadzało reżim do białej gorączki.

Moje długoletnie badania archiwalne nad społeczno-politycznym aspektem posługi tego wybitnego Kardynała, prowadzą do nieuniknionego szerszego wniosku, że wielkie zasługi Prymasa dla Kościoła i Ojczyzny będą z biegiem czasu rosnać w oczach nie tylko teologów, lecz i historyków. Dotyczy to zwłaszcza zainstalowania przez Hlonda polskiej, katolickiej organizacji kościelnej na Ziemiach Zachodnich i Północnych RP, przed 1945 r. praktycznie „straconych” (od 400 lat) dla Stolicy Apostolskiej na rzecz przeważającego tam luteranizmu. Od 1992 r. trwa proces beatyfikacyjny Sługi Bożego Augusta Hlonda. W maju 2006 r. jego grób w archikatedrze warszawskiej nawiedził podczas swej pielgrzymki do Polski Ojciec Św. Benedykt XVI.

Sylwetka

August Hlond urodził się 5 lipca 1881 r. niedaleko Mysłowic na Górnym Śląsku, stąd problematykę ziem zachodnich i polsko-niemieckiego pogranicza znał niemal od dziecka. Po ukończeniu szkół salezjańskich we Włoszech, obronił doktorat na papieskim rzymskim Uniwersytecie Gregoriańskim; dopiero potem studiował (1905-1909) w kraju, na uniwersytetach w Krakowie i we Lwowie. Święcenia kapłańskie przyjął w 1905 r. Znał języki francuski, niemiecki i włoski, miał dobrą opinię w Watykanie. Na początku został dyrektorem salezjanów w Przemyślu (1907-1909), a od 1909 r. we Wiedniu. Zaraz po I wojnie światowej, gdy miał zaledwie 38 lat, mianowano go dyrektorem generalnym salezjańskiej prowincji zakonnej na Niemcy, Austrię i Węgry, z siedzibą w Wiedniu.

Ks. dr Hlond był głębokim patriotą polskim, nastawionym zarówno antykomunistycznie, jak i antynazistowsko. Niemców nie lubił (i vice versa), cenił za to kulturę francuską i włoską. Politycznie sympatyzował z chadecją, choć wysoko považał marszałka Piłsudskiego. W wolnej Polsce został w 1922 r. administratorem apostolskim Górnego Śląska, a w 1925 r. pierwszym w dziejach biskupem katowickim. Po zgonie kard. prymasa

Śmierci Sługi Bożego prymasa Augusta Hlonda

TOMASZ SERWATKA

Dalbora w kwietniu 1926 r., Ojciec Św. Pius XI mianuje bp. Hlonda prymasem Polski oraz arcybiskupem gnieźnieńskim, z siedzibą w Poznaniu. W rok później Hlond uzyskuje kapelusze kardynalski. Ma 46 lat.

W życiu Kościoła

Jego sytuacja była jednocześnie i dobra, i trudna. Dobra – bo miał powagę w kręgach watykańskich (jak żaden bodaj polski kardynał przed nim) oraz poparcie rządu sanacyjnego. Trudna – bo położenie wewnętrzne Polski było zaraz po przewrocie majowym pełne komplikacji, a kardynał Kakowski z Warszawy (1862-1938) uważał się za niemal prestiżowo równego Hlondowi (przed I wojną nosił tytuł „prymasa Królestwa Polskiego”). Hlond musiał sobie dopiero wyrabiać autorytet. Zabrał się energicznie do pracy. Już w 1929 r. powołał do życia Akcję Katolicką, mającą na celu uaktywnienie się katolików świeckich. Wydał liczne listy pasterskie, książki i broszury, patronował Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu.

Wobec rozprawy Piłsudskiego z opozycją (Witos, Kiernik, Liebermann, Prągier, Korfanty) we wrześniu 1930 r. i potem, prymas zajął postawę wyważoną, spokojną i pełną rezerwy. Wbrew głosom większości biskupów (z abp. Sapięgą z Krakowa, abp. Teodorowiczem ze Lwowa i abp. Jałbrzykowskim z Wilna na czele) nie potępił piłsudczyków i ich metod. Sapięha nazwał nieco przesadnie te metody „niemal bolszewickimi” (więzienie brzeskie, bicie postów przez żołdaków W. Kostka-Biernackiego). Prymas za to gorąco optował za jednością narodową, solidaryzmem klasowym i spokojną pracą państwową. Miał od początku dobre stosunki z warszawskim Zamkiem, skoro już w 1927 r. serdecznie powitał w Poznaniu prezydenta RP prof. Ignacego Mościckiego...

Już w latach trzydziestych kardynał Hlond wyrósł na główny duchowy autorytet Polski. Liczyli się z nim bardzo – po zgonie Piłsudskiego – prezydent Mościcki, marszałek Śmigły-Rydz i minister J. Beck. W lutym 1939 r. – na konklawe po śmierci Piusa XI – mówiło się nawet w Rzymie o jego kandydaturze



na papieża. Przypomnijmy, że rola prymasów w dziejach Polski jest wyjątkowa; w dawnej Rzplitej szlacheckiej zastępowali głowę państwa w wypadku śmierci króla (interrex), zwoływali wolne elekcje, w Senacie zasiadali na pierwszym miejscu. Wobec klęski wrześniowej, władze RP poprosiły zatem Hlonda o opuszczenie Poznania i udanie się na wschód. Jest więcej niż pewne, że w wypadku pozostania w Poznaniu (który wcielono do Rzeszy w ramach tzw. Warthelandu) Hlond zostałby przez hitlerowców uwięziony, poddany torturom a nawet zabity (jak choćby bp Michał Kozal z Włocławka).

Wedle koncepcji prezydenta i Becka, prymas miał stać się adwokatem sprawy polskiej nad Tybrem. Już 14 września 1939 r. wiceminister Jan Szembek wyrobił mu wizy i wyjechał – via Rumunia – do Rzymu. Problem polegał też na tym, że nowy papież Pius XII (były nunceusz apostolski w Monachium i Berlinie) przejawiał wiele (także politycznych) sympatii dla Niemiec, a propaganda III Rzeszy kłamliwie oskarżała Polskę (i samego A. Hlonda) o wszystko, co najgorsze. Wyjazd prymasa z kraju spotkał się wszak z negatywnymi odczuciami części społeczeństwa, a nawet niektórych dostojników watykańskich, którzy uważali, że arcybiskup nie ma prawa opuszczać swych wiernych nawet w najgorszej klęsce. Te wyrzuty sta-

ły się chyba powodem pewnego kompleksu Hlonda, który potem często się z tego tłumaczył oraz jak najszybciej chciał wrócić do Polski.

Na obczyźnie

Wedle relacji niektórych świadków, wysiadłszy 19 września 1939 r. na dworcu rzymskim Termini, 58-letni prymas był po prostu załamany. Trudno mu się dziwić, skoro minęły dopiero dwie doby od agresji bolszewickiej... Nie udało mu się do końca spełnić nadziei rządowych. Spośród prałatury rzymskiej, mało kto chciał z nim poważnie rozmawiać, a papież przyjął go tylko dwa razy. Mowa Ojca Św. do uciekinierów z powalonej przez Niemców i Sowieców Polski wypadła sucho i blade. Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej ponura niż przewidywali Mościcki, Sikorski, Sosnkowski, Hlond czy Beck.

Pod koniec września wymieniano nawet kandydaturę kardynała na emigracyjnego prezydenta (w innej wersji – premiera). Szybko pokazało się wszak, że jego pozycja w Watykanie wyglądała dosyć słabo. Pisane przezeń memoriały o prześladowaniu przez hitlerowców księży w okupowanej Polsce, w językach angielskim i francuskim, pozostały na Zachodzie praktycznie bez echa. Wobec tego Hlond kilkakrotnie prosił papieża o możliwość załatwienia mu powrotu do Poznania lub Warszawy. Berlin jednakowoż kategorycznie odmówił. Nienawidzono tam Kardynała z całej duszy. Po klęsce Francji i przystąpieniu Włoch do wojny po stronie III Rzeszy, prymas Polski został uznany w Italii za „persona non grata” i *de facto* wyproszone. Był to czerwiec 1940 r.

Osiadł w Lourdes, w nieokupowanej przez nazistów południowej części Francji. Kraj i język lubił, a kolaborancie władze z Vichy patrzyły nań stosunkowo życzliwie. Hlond darzył zresztą marszałka Petaina personalnie dużym szacunkiem. Purpurat korespondował z londyńskim rządem Sikorskiego, lecz ich drogi rozmięły się. Sikorski chciał pozbyć się „prosanacyjnego” prymasa z Europy, zachęcając go do wyjazdu do

Dokończenie na str. 8

60. rocznica śmierci prymasa Augusta Hlonda

Dokończenie ze str. 7

USA. Hlond pragnął wszelako jak najszybszego powrotu do kraju. Kiedy naziści w 1942 r. zajęli południową Francję, kardynał musiał uciekać pod okupację włoską, do gór Sabaudii (Savoie), gdzie ukrywał się w klasztorze w Hautecombe.

Dopiero w lutym 1944 r. Niemcy dopadli go i internowali w Paryżu. Gestapowcy nie wazyli się jednak naciskać go fizycznie. Postulowali jedynie, by wydał antysowiecki list pasterski do Polaków, gdzie zachęcałby do pójścia na pasku niemieckim. Hlond katygorycz-



nie odmówił. Wprost powiedział, że życie ma już za sobą, a śmierci się nie boi. Było to już po Stalingradzie i Niemcy nie mogli sobie pozwolić na represjonowanie proaliantckiego prymasa Polski. Warto dodać, iż analogiczną propozycję złożył abp. Adamowi Sapieżę – mniej więcej w tym samym czasie – w Krakowie Hans Frank, także spotykając się z ostrą repliką.

Powrót

Zaraz po wyzwoleniu Niemiec przez Amerykanów (Hlond przebywał w areszcie w Wiedenbrueck w Westfalii), kardynał udał się samolotem (via Paryż) do Rzymu, by prosić papieża o specjalne pełnomocnictwa przed powrotem do Polski. Chodziło o możliwość zakładania nowej polskiej administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich (Opole, Wrocław, Gorzów, Gdańsk i Olsztyn), które po II wojnie alianci przekazali Polsce (lipiec 1945 w Poczdamie). 20 lipca był już w Poznaniu, a wkrótce przeniósł się do Warszawy. Ludność powitała go entuzjastycznie. Ufano, że znów będzie wolna, prawdziwa Polska.

15 sierpnia 1945 r. prymas wydał swój pierwszy list pasterski, gdzie za-

chęcał do umocnienia wiary i odbudowy kraju z ruin. Uznawał nowe granice zachodnie, a także przeobrażenia ustrojowe w kierunku lewicowym. Katygorycznie sprzeciwiał się natomiast komunistom i propagandowemu ateizmowi. W specjalnej odezwie z maja 1948 r. do „repatriantów”, wypędzonych przez bolszewików z Kresów Wschodnich RP, którzy przybyli na ziemie zachodnie, wzywał do spokoju i wiary w przyszłość narodu w swych nowych siedzibach. Osobiście jeździł po parafiach w diecezjach zachodnich, grzecznie acz stanowczo wyprasając z nich resztki kleru niemieckiego. Stolicę swą przeniósł w marcu 1946 r. do Warszawy, połączył też archidiecezję gnieźnieńską z warszawską.

Niestety, po dwóch latach pewnego rodzaju „symbiozy” legalnej opozycji z reżimem, czerwoni przeszli do ataku i akcji zduszenia wszelkiego oporu. Rok 1947 to już nie tylko sfałszowane wybory do Sejmu RP, lecz rozprawa z Popielem i Mikołajczykiem. Nad Kościołem gromadzą się naprawdę czarne chmury. Czy zatem śmierć

prymasa w tym właśnie dziejowym kontekście była „przypadkowa”? Pytanie to nie może nie cisnąć się na usta badaczowi. Obecnie większość specjalistów odrzuca wszak tezę o tym, że swe brudne dłonie maczali w tym „smutni panowie” z UB. Takie opinie były dość głośne w 1948 r., a wyszły właśnie z kregu osób będących przy łożu chorego. Sam umierający mówił ponoć o otaczających go „siłach ciemności”, którym musi teraz ulec. Ale zwycięstwo przyjdzie, a przyjdzie ono przez Maryję. Były to jego ostatnie słowa.

Pogrzeb prymasa stał się wielką narodową manifestacją. Na czele konduktu stał sędziwy, 81-letni Sapieżę. Rząd komunistyczny wystosował jedynie suche kondolencje, wysyłając na uroczystość osobę tylko w randze wicepremiera, co było ewidentnym faux pas. Natomiast emigracyjne władze RP w Londynie nader godnie uczciły pamięć zmarłego. Uczestniczyli tu sam prezydent August Zaleski, rząd i generalicja. Zorganizowano też okolicznościową sesję naukową z udziałem profesorów St. Strońskiego i W. Folkierskiego.

TOMASZ SERWATKA

Śmierć kard. Augusta Hlonda († 22 X 1948) postawiła Stolicę Apostolską i Kościół w Polsce przed zasadniczym problemem sukcesji na urzędzie prymasa Polski, choć do decyzji w tej sprawie – ze względu na nagły zgon księdza prymasa – nikt nie był wówczas przygotowany, a skomplikowana sytuacja społeczno-polityczna sprawy zaś tej nie ułatwiała. Ważnym elementem tego procesu, i poważnym utrudnieniem w podejmowaniu decyzji w tej sprawie była także nie wyjaśniona do końca sprawa samej śmierci kard. Augusta Hlonda, która tworzyła specyficzny, dramatyczny klimat dla dalszych losów Kościoła w Polsce i posługi jego następcy.

Charakterystycznym elementem ówczesnych relacji kościelno-państwowych na terenach, gdzie władzę przejęli komuniści był bowiem fakt, że już od pierwszych powojennych miesięcy stopniowo usuwani byli przez nich ze swych urzędów wielcy biskupi, ówczesni lub późniejsi kardynałowie, z krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Już w 1945 roku wywieziony był na Syberię abp Józef Słipiński z Lwowa i aresztowany został bp Alojzy Stepinac z Zagrzebia. Pod koniec 1948 roku aresztowany został kard. Josef Mindszenty, prymas Węgier, a w następnym roku abp Józef Beran z Pragi i bp Stefan Trochta z Litomierzyc. Nie ulega więc wątpliwości, iż także losy kardynała Hlonda były w tej sytuacji przesądzone, tym bardziej że Kościół w Polsce stanowił niepomierne większą niż w innych krajach tego regionu siłę i cieszył się dużo większym niż tam autorytetem. Nagła i niespodziewana śmierć właśnie w tym czasie kard. Augusta Hlonda, postaci o wielkim autorytecie w Polsce i poza jej granicami, której działalność była niewątpliwie zasadniczą przeszkodą dla ograniczania praw Kościoła w Polsce stanowiącego w tym czasie jedyną zorganizowaną siłę zdolną przeciwstawić się sile budowniczych nowego ustroju w Polsce, musiała zatem dawać wiele do myślenia. Podobnie zresztą, jak jego słowa, które wypowiedział w przeddzień swej śmierci do zebranych przy łożku: *Od początku października rozpętała się walka duchów ciemności z duchami jasności...*

W 60 rocznicę prymasostwa kard. Stefana Wyszyńskiego (1)

A do stojącego obok łożka biskupa Bernackiego dodał: *Sity diabelskie mnie powaliły, bo toczy się walka szatanów. Inaczej by ta walka wyglądała, gdybym ja był. Jeżeli mnie nie będzie, wy walczycie, aby sprawa Boża zwyciężyła.* Do dziś nie wiadomo, czy słowa te były jedynie mistyczną wizją odchodzącego do wieczności człowieka czującego swą odpowiedzialność za Kościół w Polsce, czy też umierający prymas

Hlonda. *A teraz coś się zaważyło. Runął mur oporowy. Kto teraz będzie anemurale?*

Jak z tego wynika biskup Wyszyński bardzo przeżył śmierć swego – jak się później okazało – poprzednika, z którym miał bardzo dobre i bliskie kontakty. Ksiądz prymas Hlond znał ks. Stefana Wyszyńskiego jeszcze sprzed wojny, zaprosił go do udziału w pracach swej Rady Społecznej, on też był inicjatorem

Niemale znaczenie dla podkreślenia roli biskupa Wyszyńskiego w odradzającym się po wojnie Kościele w Polsce miało na przykład zaproszenie go z kazaniem – co zgodnie z praktyką kościelną miało charakter wyróżnienia – podczas ogólnopolskich uroczystości w rocznicę Aktu Poświęcenia Narodu Polskiego Niepokalanemu Sercu Maryi 8 września 1947 roku na Jasnej Górze. Podobny cha-

„Ten nam się udał!”

KS. PIOTR NITECKI

Polski wiedział po prostu więcej o faktycznych przyczynach swojej śmierci...



Biskup Wyszyński, który w dniach choroby kardynała Hlonda sam przebywał na rekonwalescencji po przebytej operacji wyrostka robaczkowego w Zakopanem, dowiedział się o śmierci księdza prymasa tego samego dnia, w chwili swego powrotu do Lublina. Zaskoczony tą wiadomością tuż po przyjeździe do domu, już w holu rezydencji, pisze w rozpoczętych tego dnia zapiskach, że wiadomość ta „obezwładnia kroki. Stoimy dłuższy czas w holu, zagubieni w milczeniu”. Natychmiast skierował się do kaplicy, gdzie odprawił Mszę świętą za zmarłego Prymasa, a wieczorem tego dnia napisał: *Tak często radowałem się myślą, że w niezwykle trudnej sytuacji Kościoła w Polsce, błogosławieństwem jest jego Sternik, pewną dłońią prowadzący przez męki. Człowiek czuł się dziwnie spokojny w pobliżu kardynała*

powołania go na ordynariusza lubelskiego i sam udzielił mu święceń biskupich. W czasie posługi ks. bp. Stefana Wyszyńskiego w diecezji lubelskiej jego kontakty z prymasem Hlondem jako przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski znacznie się zacieśniły. Bliz-

Kardynał Hlond darzył bp. Wyszyńskiego dużym szacunkiem wyrażającym się zarówno w powierzaniu mu odpowiedzialnych zadań w ramach prac Konferencji Episkopatu Polski, jak i w publicznych gestach oraz prywatnych wypowiedziach. Niemale znaczenie dla podkreślenia roli biskupa Wyszyńskiego w odradzającym się po wojnie Kościele w Polsce miało na przykład zaproszenie go z kazaniem – co zgodnie z praktyką kościelną miało charakter wyróżnienia – podczas ogólnopolskich uroczystości w rocznicę Aktu Poświęcenia Narodu Polskiego Niepokalanemu Sercu Maryi 8 września 1947 roku na Jasnej Górze.

sze kontakty obu tych hierarchów, poprzednika i jego następcy na urzędzie prymasa Polski, nawiązane zostały zarówno poprzez współpracę w ramach Konferencji Episkopatu, jak również dzięki dwóm wizytom księdza prymasa Hlonda w diecezji lubelskiej. Darzył on biskupa Wyszyńskiego dużym szacunkiem wyrażającym się zarówno w powierzaniu mu odpowiedzialnych zadań w ramach prac Konferencji Episkopatu Polski, jak i w publicznych gestach oraz prywatnych wypowiedziach.

rakter miało również zaproszenie go przez prymasa Hlonda z kazaniem podczas uroczystego odpustu ku czci świętego Wojciecha w Gnieźnie w 1948 roku. Także w prywatnych relacjach przy różnych okazjach, zwłaszcza po wizytacji w diecezji lubelskiej, kardynał Hlond podkreślał wysoką ocenę biskupa Wyszyńskiego. Ks. Antoni Słomkowski, ówczesny rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, wspominał na przykład, że podczas rozmów z prymasem Hlondem niejednokrotnie słyszał od niego pełne uznania słowa o biskupie Wyszyńskim: *Ten nam się udał* i otrzymywał dla niego wsparcie finansowe na potrzeby diecezji lubelskiej.

Kard. August Hlond, obserwując wkład biskupa Wyszyńskiego na rzecz Kościoła w Polsce, właściwie rozumienie przezeń wyzwania, przed jakim stanął on w tamtym czasie, jego bezkompromisowość oraz podejmowane inicjatywy organizacyjne i duszpasterskie w diecezji lubelskiej, patrzył więc zapewne na niego z nadzieją. Jego nominacja w 1946 roku na ordynariusza lubelskiego i pierwsze pozytywne doświadczenia pracy młodego biskupa pozwalały bowiem sądzić, iż był on pastorem posłanym tam przez Kościół na długie lata. Śmierć prymasa Hlonda zmieniła jednak radykalnie ówczesną sytuację, a jego wcześniejsza ocena biskupa Wyszyńskiego nabrała w takiej sytuacji zupełnie nowej, ukierunkowanej ku przyszłości, wymowy.

Ciąg dalszy w następnym numerze.

Kombonianin z Brazylii

Z ks. Tomaszem Markiem o zakonie kombonianów i specyfice misji w Brazylii rozmawia Jan Górecki

Jest ksiądz misjonarzem kombonianinem, obecnie przebywającym w Polsce, a wcześniej przez kilka lat pełniącym swą posługę w Brazylii. Choć w naszym kraju wielu wierzących żywo interesuje się misjami, o Waszym Zgromadzeniu mało kto słyszał.

Rzeczywiście. Może wynika to z faktu, że kombonianów Polaków jest zaledwie kilku. Nasze Zgromadzenie (Misjonarzy Kombonianów Serca Jezusowego) natomiast istnieje od roku 1867. Założył je św. Daniele Comboni, włoski ksiądz misjonarz, którego zasadniczym powołaniem była chrystianizacja Afryki. Całe swoje życie poświęcił Afryce i Afrykanom.

Misjonarze kombonianie są w Polsce od niedawna...

Tak, pierwsi kombonianie przybyli do Polski pod koniec lat osiemdziesiątych zeszłego stulecia. Musimy pamiętać, że były to czasy zupełnie inne od dzisiejszych. Nie było łatwo obcokrajowcom zadomowić się w tym, wówczas zależnym jeszcze od Imperium Radzieckiego, kraju. Pierwsze lata to dla nich czas na-

scy zrozumieli, że misje są, na mocy chrztu świętego, wyzwaniem i obowiązkiem każdego chrześcijanina. Trudno jest tę myśl rozpowszechniać kilku kombonianom, którzy są w Polsce, ale współpracując z miejscowym klerem i innymi zgromadzeniami typowo misyjnymi, mogliśmy zrobić już wiele jak na nasze skromne możliwości. I jesteśmy przekonani, że ta sytuacja jeszcze się poprawi, dlatego kombonianie są w Polsce! A jeśli ktoś chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o kombonianach i ich działalności misyjnej, pozwolę sobie podać nasz adres mailowy: komboni@wp.pl

Czy dla współczesnego młodego Polaka idea misji może być ideą żywą, atrakcyjną duchowo? Jak pod tym względem wygląda Polska na tle innych krajów?

Z pewnością i w Polsce są ludzie młodzi, którzy szukają w swoim życiu odpowiedzi na pytania, które ich nurtują. Wśród nich także ci, którzy wierzą, że misje były, są i będą potrzebne, że warto jest poświęcić swoje jedyne życie dla innych, których się nie zna, a wszystko to w imię Ewangelii. Obecnie w naszym Zgromadzeniu mamy kilkunastu młodych ludzi, którzy przygotowują się do pracy na misjach. W porównaniu z innymi zgromadzeniami z pewnością jest to niewiele, ale i nasze Zgromadzenie jest, jeśli można tak powiedzieć, nietypowe. Wszyscy wcześniej czy później jedziemy na misję, do Afryki, Ameryki Południowej czy Azji. W Polsce stanowimy jedynie zaplecze dla tych, którzy w sposób bezpośredni głoszą Chrystusa tym, którzy o nim nie słyszeli lub słyszeli bardzo niewiele. Młodzież w Polsce jest w podobnej sytuacji jak młodzież w innych krajach europejskich. Można zaobserwować tendencję podwyższania się wieku ludzi, którzy podejmują decyzje „na całe życie”. Dotyczy to zarówno tych, którzy pragną zawrzeć związek małżeński, jak też tych, którzy myślą o życiu w celibacie. Dzisiejsza młodzież, jak mi się wydaje, bardziej niż kiedyś chciałaby „próbować”, doświadczać, mieć pewność. Dlatego spotykamy wielu, którzy są gotowi dać dwa, trzy miesiące ze swego życia dla potrzebujących, ale kiedy trzeba zdecydować się na całe życie, nie wiedząc dokładnie, co będzie później, sytuacja się komplikuje. Oczywiście, musimy mieć też na uwadze uwarunkowania społeczne, dzisiejsze rodziny, które mają mniej dzieci. To wszystko z pewnością ma wpływ na „atrakcyjność” misji.

Działalność misyjna kombonianów to nie tylko chrystianizacja, ale również aktywność o charakterze społecznym - edukacyjna, na rzecz obrony pokoju, praw człowieka, zwalczania głodu. Jakie są przesłanki takiego podejścia?

Głównym naszym zadaniem jest ewangelizacja. Ewangelizacja nie znaczy jednak indoktrynacja. Ewangelizacja to „humanizacja”, to promocja człowieka. Dlatego w naszej pracy nie możemy pomijać tego aspektu. Przede wszystkim chcemy głosić Królestwo Boże, które zapoczątkował Pan Jezus, kiedy chodził po ziemi. Było to Królestwo miłosierdzia, bezinteresowności, służby, sprawiedliwości, pokoju. Jezus urodził się i żył wśród ludzi biednych. Im głosił Swoją naukę i oni ją przyjęli. Nie ograniczał się jednak tylko do głoszenia. Uzdrawiał chorych, rozmnażał chleb, wyrzucał złe duchy, stawał w obronie pokrzywdzonych, nikogo nie potępiając. Choć minęły od tego czasu niemal dwa tysiące lat, sytuacja dzisiejsza nie różni się bardzo od tamtej. Ciągłe ludzkie są krzywdzenia, marginalizowani, doznają głodu. Aby im móc mówić, że Bóg jest dobry, czasem trzeba po prostu dać im coś, co jest niezbędne do życia. Czasem trzeba stanąć w ich obronie. Nasz założyciel, św. Daniele Comboni, był prekursorem takiego sposobu ewangelizowania. Kiedy niektórzy z hierarchów Kościoła zastanawiali się, czy Czarni mają duszę, Comboni sam pomagał znosić niewolnictwo. Kiedy nie miał już innych możliwości, za własne pieniądze wykupował niewolników i dawał im wolność. Kombonianie także dzisiaj chcą być wierni swemu założycielowi i działać w tym duchu.

Mieszkając w Brazylii, nie sposób uciec przed społecznymi problemami tego kraju. Czy te problemy, widziane z bliska, wpływają na sposób postrzegania współczesnego Kościoła i jego roli w świecie? I czy te problemy nie różnicują Kościoła w Brazylii?

Mam przyjaciela, który lubi powtarzać, że każdy punkt widzenia jest widzeniem jakiegoś punktu... Z pewnością w tym zdaniu jest wiele prawdy. Kiedy jesteśmy w Polsce, patrzymy na świat z perspektywy naszego kraju, żyjemy wydarzeniami naszego kraju. Kiedy przesuniemy się na drugi koniec świata, możemy zobaczyć, że nasze problemy z tamtej perspektywy wyglądają już inaczej. Kościół także nie może uciec od takiej zmienności optyki, ponieważ



Św. Daniel Comboni

uki języka i tzw. inkulturacji. Musiało zatem minąć kilka lat, aby zrozumieli funkcjonowanie naszego państwa, weszli w polską religijność i próbowali animować misyjnie polskie społeczeństwo. Pomimo, że w Polsce mamy stosunkowo wielu księży, zakonników i zakonnic, pod względem liczebności misjonarzy jesteśmy jeszcze daleko w tyle za takimi krajami jak Włochy czy Hiszpania. Wydaje się, że potrzeba czasu, aby wszy-



O. Tomasz w otoczeniu brazylijskich dzieci

żyje wśród ludzi i dla ludzi. W kraju takim jak Brazylia ciągle jeszcze wiele ludzi żyje w skrajnym ubóstwie, wiele osób nie umie czytać i pisać, 10 milionów dzieci żyje na ulicy, miliony osób są skazane na wegetację na peryferiach wielkich miast. Po drugiej stronie są bogaci, którzy żyją kosztem biednych. Wobec takich sytuacji Kościół nie może milczeć. Nie wolno mu, bo byłoby to sprzeniewierzeniem się jego misji. Z pewnością problemy społeczne w krajach tzw. Trzeciego Świata są dużo bardziej wyraźne niż w Polsce, dlatego też aktywność Kościoła w tych krajach nie może ograniczać się jedynie do liturgii i katechizacji. Kościół w Brazylii opowiedział się po stronie pokrzywdzonych i w kwestiach społecznych wypowiada się śmiało. Oczywiście, Brazylia to ogromny kraj i mamy tam do czynienia z różnymi ruchami wewnątrz samego Kościoła. Zasadniczo jednak praca misjonarzy jest skoncentrowana na peryferiach miast i w odległych wioskach, szczególnie w Amazonii, i w północno-wschodniej części kraju. Przebywanie z tymi ludźmi to także przeżywanie ewangelizowania przez nich. I dla mnie było to wielkie odkrycie i wielkie doświadczenie. Zrozumiałem – jedziemy tam, aby zanieść im Jezusa, ale Bóg jest tam już od dawna!

Na czym jeszcze polega specyfika chrystianizacji w kraju tak wielokulturowym, zróżnicowanym społecznie jak Brazylia?

Właściwie to trudno mówić o chrystianizacji w Brazylii. Ja osobiście nie spotkałem tam ani jednego ateisty. Wraz z przybyciem Portugalczyków Ewangelia dotarła do Brazylii i ma tu za sobą już ponad 500 lat tradycji. Dziś jednak szacuje się, że ponad milion katolików co roku staje się wyznawcami kościołów zielonoświątkowych, w efekcie czego liczba katolików spadła do ok. 70% wcześniejszego stanu. Dla niektórych jest to fakt niepokojący. Z natury Brazylijczycy są wierzący. Gorzej bywa z praktyką niedzielnej mszy św., tylko kilka procent uczęszcza regularnie. Ten fakt ma też swą przyczynę histo-

ryczną, ponieważ na tym terenie zawsze brakowało misjonarzy i dzisiaj jest podobnie. Współczesny sposób głoszenia nauk Chrystusa na pewno różni się od tego sprzed 500 lat. Już nie chrzczy się tysiący Indian. Dzisiaj obecność misjonarzy jest dla ludzi propozycją. Sami muszą zdecydować, czy naprawdę chcą być katolikami. Dziś w Brazylii możemy dostrzec wiele sposobów głoszenia Ewangelii. Nam, Polakom, najbardziej bliski jest model Kościoła obecny na południu Brazylii, głównie w stanach Rio Grande do Sul, Santa Catarina i Parana zamieszkanym w większości przez ludzi białych, emigrantów z Europy, także z Polski. Struktura tego Kościoła jest podobna do tej, do której jesteśmy przyzwyczajeni. W ostatnim czasie bardzo ożywił się w Brazylii tzw. Ruch Odnowy w Duchu Świętym. Wielu ludzi odnajduje się w tym Kościele, gdzie emocje, gesty i ruchy są tak uprzywilejowane. Misjonarze są zaś najbardziej obecni w tak zwanych „małych wspólnotach kościelnych”, grupach powstałych w latach sześćdziesiątych i rozwijających się do dziś, które łączą wiarę z działaniem. Z tych grup wyrosło wielu liderów politycznych i społecznych, którzy starają się, poprzez swą aktywność, wpływać na życie społeczne kraju. Nie możemy pomijać również specyficznych grup Indian. Praca z tymi grupami to także waloryzacja ich kultur i ewangelizacja, która bierze pod uwagę ten aspekt. Obecność misjonarzy wśród tych grup etnicznych jest bardzo ważna. Często można spotkać się z przejawami rasizmu, chociaż formalnie go nie ma. Te grupy ludzi bywają bardzo krzywdzone i dlatego misjonarze są szczególnie zaproszeni do pracy wśród nich.

Bardzo dziękuję za rozmowę, która przybliżyła Zakon Kombonianów i specyfikę misji w kraju tak dla nas egzotycznym jak Brazylia.

Intencje Apostolstwa Modlitwy na październik 2008

Intencja ogólna:

Aby Synod Biskupów pomógł duszpasterzom i teologom, katechetom i animatorom, pełniącym posługę słowa Bożego, odważnie przekazywać prawdy wiary w jedności z całym Kościołem.

Intencja misyjna:

Aby w tym miesiącu poświęconym misjom, dzięki działalności i programom Papieskich Dzieł Misyjnych i innych organizacji, wszystkie wspólnoty chrześcijańskie uświadomiły sobie potrzebę uczestniczenia w powszechnej misji Kościoła przez modlitwę, ofiarę i konkretną pomoc.

Spotkanie Boga w Piekielnej Dolinie

MATEUSZ GODEK

Każdy wierzący przynajmniej raz zadał sobie pytanie: mówią o Bogu, ale Go nie widać, gdzie On może się podziwiać? Jeden pojedzie do Jerozolimy, drugi do Rzymu... – Chwileczkę, ślad pozostał, ale gdzie Bóg? Nie trzeba Go szukać daleko, wystarczy dostrzec... Głupi może zadać pytanie: – Gdzie ty tam widzisz Boga? A ja mu odpowiem: – Wytrzeszcz oko, natęż słuch! A jak powie, że nic nie słyszy, ani nie widzi, to mu powiem: – POCZUJ! Zapraszam do zagłębienia się w przygodę, gdzie niespodziewanie spotkałem Boga w Piekielnej Dolinie...

Ja się na to piszę!

Zacząłem się dość niepozornie. Razem z moim przyjacielem zamierzaliśmy udać się do Monachium złożyć wizytę u naszych rodzin. Ale co by tu zrobić, żeby ciekawie urozmaicić ten pobyt? Jako miłośnik gór niemalże od razu pomyślałem o górach. W ręce wpadła mi mapa i patrzę: prawie sto kilometrów na południe od Monachium znajduje się napis ALPY BAWARSKIE. Pomyślałem, zapowiada się ciekawy wypad. Patrzę dalej, maszerując palcem po mapie po szczytach doszedłem do najwyższego. Chwyliłem za telefon i dzwonię. W słuchawce słyszę zaspany głos. – Alpy Bawarskie, Zugspitze 2962 m n.p.m. zdobywamy? – mówię. W odpowiedzi ku mojemu zaskoczeniu słyszę: – Ja się na to piszę! I zaczęło się polowanie na przewodniki, zbieranie wszelkich informacji, oglądanie zdjęć itd. Plan podróży gotowy, bilety zarezerwowane, sprzęt jest, nic tylko w drogę. Najpierw udaliśmy się pociągiem do Monachium. Po drodze zwiedziliśmy Drezno, gdzie mi utknął w głowie pomnik Marcina Lutra. Tam musiał być naprawdę ceniony – myślę. I tu już zacząłem czuć się obco, jak to na obczyźnie bywa. Jedziemy dalej, podczas drogi omawiamy szczegóły naszej wyprawy. Po niemalże trzy-nastu godzinach drogi docieramy do Monachium, rozchodzimy się do naszych rodzin i za parę dni wyruszamy zdobywać szczyt... W międzyczasie od bliskich i znajomych słyszę tylko negatywne reakcje: „ty chyba zwariowałeś!”, „tam giną ludzie, to niebezpieczne”, „gdzieś tam ktoś zginął wczoraj”... Jak

kamień nie reagowałem na to, bo miałem ściśle określony swój własny cel w rytm słów piosenki „chcę, potrafię, wznieść się!”.

Jak zaczarowani

Dojeżdżamy pociągiem do Garmisch-Partenkirchen. Z okien podziwiamy piękne widoki gór i miasteczek. Po wyjściu z dworca czuliśmy się jakby nas ktoś zaczarował. Dosłownie w ciągu chwili znaleźliśmy się jak w bajce. Każdy dom miał jakiś malunek na elewacji. Głównie postaci świętych, ale nie tylko. Na domach znajdowały się liczne krajobrazy, widoki ludzi pracujących w polu, bawiące się dzieci, zwierzęta. W każdym oknie, na balkonie pełno kolorowych kwiatów, gdzieś wisiły duże krzyże, oznaki, że tu mieszkają chrześcijanie. Na ulicach pełno zabytkowych fontann, figury świętych, a na tle całego miasteczka dookoła wielkie Alpy, które nadawały dostojności całej okolicy. Jedno pytanie mi się nasuwało: – Czy to rzeczywistość, czy tylko jak na wystawie ludzie uwidaczniają swoją pobożność? Byłem tak oczarowany, że nie śmiałem wątpić w to, co widzę. Po przejściu całego miasta dotarliśmy do schroniska młodzieżowego. Zmówiliśmy różaniec o udaną wyprawę, pogodę i poszliśmy wcześniej spać. Jutro o świcie wyruszamy – jak na razie – na najwyższy szczyt naszego życia.

Gdzie to piekło?

Godzina piąta rano – pobudka. Budzimy się i słyszymy szum. Czyżby deszcz? Zaraz pomyślałem o planie „B”, którego i tak nie było. Kolega wygląda

przez okno i okazuje się, że to szum potoku, który obok przepływał, a w oddali pięknie nasłonecznione szczyty gór. Szykujemy się i czas ruszać w drogę! Najpierw 7 km pociągiem do pobliskiego Grainau. Bez biletu udajemy, że nie wiemy o co chodzi. Konduktor każe nam wysiąść na stacji na której i tak zamierzaliśmy. Przechodzimy całe miasteczko i rozpoczyna się szlak. Po drodze jednogłośnie zdecydowaliśmy, że jeżeli nie damy rady i znacznie nam brakować sił robimy odwrót. Pełni optymizmu i wiary w siebie wchodzimy na szlak. Z racji, że droga prowadziła przez Piekielną Dolinę niemalże od początku nurtowało mnie pytanie dlaczego akurat piekielna? Na odpowiedź musiałem jednak jeszcze poczekać... Idziemy. Najpierw ścieżka prowadziła pod górę przez gęsty las, nawet łagodnie, lekko się zasapaliśmy. Z pogodą nam się trafiło, gdyż wcześniej ciągle było deszczowo i chłodno, a tu proszę: pogoda jak na zamówienie. Dochodzimy do wysokości tysiąca metrów. Tu minischronisko. Jeszcze nie zmęczeni, podziwiamy pierwsze widoki. Ja, zniesmaczony dostrzegłem wyrwę w skale... toalety. Natura się męczyła kilka milionów lat, a człowiek przyszedł i w chwilę wyrwał sobie miejsce prywatności, jakby dookoła było mało. No, ale cóż – takie życie. Przekraczamy punkt poboru opłat i wchodzimy w wielki, wąski i na sto metrów wysoki wąwóz przez który płynie rwący potok. Gdzie to piekło? Ciągle się zastanawiam. Po drodze przechodzimy przez małe mostki, wydrążone w skale przejścia. Woda leje się zewsząd: po ścianach, pod nogami, z góry, z boku, wodospadami, kaskadami. Znacznie się ochłodziło od momentu wejścia w wąwóz, ale twardo stąpamy dalej po śliskim podłożu. My się zachwycamy dwoma wodospadami w Szklarskiej Porębie, a tam było takich dziesiątki. Wychodzimy z wąwozu i droga prowadzi w górę. Widoki aż trzeba przymknąć o zawrót głowy, ale iść trzeba wyżej. Co chwilę obracam się w tył i podziwiam widok. Coś fantastycznego. Po prawej dostrzegam w oddali sąsiedni, niższy szczyt Alpspitze. A my jeszcze nawet nie w połowie drogi. Słońce grzało nie-

samowicie, co było można odczuć dopiero pod wieczór.

Pobożność wzrosła tysiąckrotnie

Doszliśmy do kolejnego schroniska (1500 m n.p.m.). Ostatniego, następne dopiero na szczycie. Tu drogi się rozchodzą na Alspitze i Zugspitze. Siedzimy przy stoliku, ja rozglądam się, a tu dookoła góry i... góry i jeszcze tam góry, na które trzeba jeszcze spoglądać z uniesioną ku górze głową. Myślę sobie jak daleko jeszcze i czy zdążymy do zmierzchu... Po odpoczynku i małym posiłku ruszamy tam, gdzie strzałka wskazuje ZUGSPITZE. Tu już ścieżki nie ma. Od tej pory zaczyna się wspinaczka po skałach. Głupio się teraz poddać, bo i siła i chęci są i oczywiście pogoda dopisuje więc idziemy dalej. Na razie spokojnie. Coś zaczyna mi dzwonić w uszach. To chyba od ciśnienia – myślę, ale nie. Hen w oddali po lewej stronie na wysokim urwisku pasą się... owce. Każda z nich ma pod szyją dzwonek i to one są sprawczyniami tego hałasu. Jak one tak wysoko potrafią to i ja dam radę. Zbliżamy się powoli do pionowej ściany. Zastanawiam się gdzie tu jest jakieś ujęcie dla turystów, jednak przeliczyłem się. Wyżej, przed nami alpinisci zatrzymali się i ubierają sprzęt. Jak oni to i my. Zaczęliśmy wyjmować z plecaków po kolei uprząże, liny, kaski. Przed wyjaz-

dem byłem przeciwny kupowania kasku twierdząc, że będzie mi niepotrzebny. Jednak po namowie przyjaciela kupiłem. Przyznałem mu wtedy rację. Zaczęliśmy modlić się różańcem, po dziesiątce. Podchodzimy do pionowej skalnej ściany, gdzie na górę prowadzą tylko metalowe drążki przypominające drabinę. Przyszła kolej na moją dziesiątkę. Wchodzę. Pierwszy drążek, drugi, trzeci... W górę ponad piętnaście metrów. Po kolei Zdrowaśki niczym wodospad leją się z moich ust. Im wyżej tym nogi coraz bardziej rozmiękczały się tak, jakby nie było w nich kości. Dziesiątka poszła, następna i zaraz po niej kolejna. Pod metalowymi drążkami sączył się niewielki strumyk co sprawiało, że każdy następny krok był chwiejny i niepewny. Przede mną pierwszy był na górze mój kompan. – Która dziesiątka? – pyta się. Ja po chwili mu odparłem: – Właśnie skończyłem. – Którą? – Cały różaniec. Jak zwykle w takich sytuacjach pobożność wzrosła tysiąckrotnie. To był jedynie przedsmak tego, co czekało nas później. Im wyżej, tym robiło się tysiej i coraz ciężej, jednak szliśmy dalej. Po przejściu skalnych atrakcji droga stała się kamienista. Zatrzymaliśmy się przed lodowcem, aby ubrać się ciepłej. Nieco zmęczeni odpoczęliśmy i ruszyliśmy ku górze z nadzieją, że już niedaleko. Widzieliśmy już bowiem nasz szczyt. Wspinaczka po za-

marzniętym lodzie była żmudna, długa i męcząca. Szliśmy powoli po wydeptanych już wcześniej śladach. Mój przyjaciel szedł pierwszy, ja tuż za nim. Co chwilę zatrzymywał się na moment. Nie pytałem się nawet czy jest zmęczony bo i tak to było po nim widać. Byłoby dotrzeć wyżej i zejść z lodowca. W pewnej chwili nieoczekiwanie jego noga ześlizgnęła się w dół. Momentalnie, niemalże automatycznie wyciągnąłem moje ręce przed siebie, aby go chwycić tak, żeby nie zsunął się niżej. Całe szczęście zachował równowagę i zatrzymał się. Jak później sam powiedział, to był moment kiedy mu serce zabiło mocniej niż zwykle. Podciągnął nogę i ruszył dalej. Ja obejrzałem się za siebie. Ujrzałem setki metrów w dół. Co by było gdyby... Idziemy wyżej. Piekielna Dolina – przechodzi mi przez myśl...

Żyję!!!

Ze zmęczeniem doszliśmy do miejsca, gdzie szlak rozstawał się z lodowcem. Tutaj chwilę odpoczęliśmy, ale na stojąco, bo nie ma nigdzie miejsca, aby usiąść, a każdy ruch grozi ześlizgnięciem w dół. Patrząc w górę i myśląc, że już niedaleko. Już jesteśmy coraz bliżej chmur. Aby zejść z lodowca czeka nas niespodzianka. Za pomocą liny trzeba przetrzucić się z lodu na pionową ścianę

 Dokończenie na str. 14



Widok na Piekelną Dolinę. W oddali widać Grainau.

Fot.: Konrad Kozłowski

Spotkanie Boga w Piekielnej Dolinie

☞ Dokończenie ze str. 13

skalną, następnie podciągnąć się pięć metrów wwyż do metalowych stopni, z których każdy był powyginany w różne strony. Cały ten manewr miał się dokonać nad... przepaścią między lodowcem a skałą. Czekamy na swoją kolej, ponieważ każdy musi pojedynczo się z tym zmierzyć. Jesteśmy drugą ekipą. Za nami dochodzą kolejni wędrowcy. W międzyczasie przepycha się do liny męczyzna - bez żadnych zabezpieczeń, plecaka, uprzęży, kasku. Jak mała pa chwyta się liny, tu uskok, tam pod-

bowiem w przedsiönku nieba... Do pierwszego drążka jeszcze trochę. W pewnym momencie myślałem, że się puszcę liny, bo już nie miałem siły podciągnąć się wyżej. Na plecach miałem spory plecak, który wymagał ode mnie nie lada wysiłku. Nagle wzrok utknął mi w niebie. Niewiadomo jak, tak jakby mnie ktoś pchał od spodu, z siłą podciągnął się raz, drugi i już byłem na metalowych drążkach. Później sam się dziwiłem jak z takim obciążeniem mi się udało. Pełna mobilizacja. Może tego

doszli do celu. Niech odpoczywają w pokoju. Dalej w górę. Po prawej skała, po lewej tysiąc metrów w dół. Kolega szedł pierwszy, co jakiś czas pytał się czy żyję. - ŻYJĘ!!! - głośno odkrzykuję za każdym razem. - A Ty żyjesz? - TEŻ ŻYJĘ! Jesteśmy już tak wysoko i nic nam się nie stało. Dzięki Bogu jeszcze żyjemy. Chmury zeszły na tyle nisko, że widoczność ograniczyła się do 5-7 metrów. Odczuło się Jego obecność. Tak jakby nas ktoś prowadził za rękę pięliśmy się twardo ku górze. Z piekła do nieba. Szczytu nie widać. Jak się okazało był już niedaleko. Dookoła rudawe skały i śnieg na przemian z płynącym strumykiem. Ostatni raz napełniam butelkę wodą z potoku. Ku naszemu zdzi-



Widok na lodowiec z ostatniego podejścia na szczyt

Fot.: Konrad Kozłowski

parcie, chwila i już go nie ma. Pomyślałem, że albo wariat, albo doświadczony alpinista. Dochodząc na szczyt doszedłem do wniosku, że jedno i drugie. Zerkam w niebo, chmury coraz niżej. Nadchodzi moja kolej. Ostrożnie, prawie na siedząco schodzę niżej, chwytam się mocno liny, podczepiam uprząż. W ciągu chwili już wiszę nad przepaścią. Coś mnie podkusiło, żeby spojrzeć w dół, a tam... niekończąca się ciemna otchłań. Pierwsze podciągnięcie. W oczach mam widok przepaści. Nagle naszła mnie strasznie dziwna myśl o śmierci. Byłem

nie było widać po mnie, ale ja w środku prowadziłem zaciętą walkę ze sobą i ze swoją słabością. Dalej droga nie była dużo łatwiejsza. Im wyżej tym gorzej, bowiem zmęczenie już dawało się we znaki i myśli o wysokości robiły swoje. Szlak prowadził po skalnej ścianie. Piekielna Dolina przypominała o sobie. I tak było do samego szczytu. Gdzieś tam gdzie miejsca starczyło tylko na postawienie jednej nogi, a co dopiero myśl o odpoczynku. Idziemy po skałach, mijamy tablice upamiętniające tragiczną śmierć tych, co szli tak jak my, ale nie

wieniu smakowała dużo lepiej niż kupna, a co ciekawe była niesamowicie czysta i dobra.

Tylko dla orłów

Dochodzimy. Widać szczyt na którym dostojnie unosi się złoty krzyż. To już ZUGSPITZE - najwyższy dach Niemiec. Po drodze mijamy tabliczkę: TYLKO DLA ORŁÓW. Nam brakowało tylko skrzydeł. Była godzina 17.55. Po jedenastu godzinach wspinaczki i wychodzeniu z piekła stoimy na wysokości 2962 m n.p.m. Odczuwam satysfakcję,

siły powracają, ale z drugiej strony jestem zawiedziony. Nic z góry nie widać. Chmury przyćmiły cały szczyt. No trudno, przynajmniej będzie pretekst, żeby tu wrócić. W końcu nie zawsze otrzymujemy to, co byśmy chcieli dostać. Schodzimy ze szczytu w stronę pobliskiego schroniska po śliskiej, metalowej drabinie. Ktoś z tamtejszej obsługi zauważając nas schodzących z góry pyta się czy zostajemy na noc. Ja wybudzając się z obłoków wrywam głupio i bez zastanowienia: – Yes! Co ja mówię? Nie mieliśmy tego nawet w planie. Zmęczenie dało się we znaki. Zaraz mój kolega mnie poprawił. Jak się okazało za pięć minut odjeżdża ostatni wagonik kolejki górskiej. Szybko, żeby się nie spóźnić, bez chwili wytchnienia pobiegliśmy w stronę stacji. Wchodzimy do budynku, jeszcze przed nami trzy piętra w dół. Wszystko pozamykane, pracownicy czekają. Spotykamy tych, którzy czekali z nami na lodowcu. Kupujemy bilet i już za chwilę byliśmy w wagoniku. W milczeniu stałem i patrzyłem w szybę. Na mojej twarzy wielka radość tłumiona przez rozczarowanie. Parę metrów w dół zaniknęły chmury. Przed nami otworzył się przepiękny widok na całą okolicę. Powrót z nieba. Z raju. Niezapomniana Piekielna Dolina. Dojeżdżamy do końca. – Tyle godzin drogi, piętnaście minut jazdy z powrotem... – Mówię zniesmaczonym. – Sześć minut! – poprawia mnie Czeszka, którą spotkaliśmy wcześniej i która niespodziewanie powiedziała nam polskie „dzień dobry” na szlaku.

Nie cel się liczy

Tu już zupełnie inny świat. Ziemia, gdzie kłóca się ludzie, trwają spory i właśnie. Gdzie nieustannie słychać krzyk bezbronných ludzi błagających o pomoc. Gdzie ryk miasta dusi się w spalinach, a miliony ludzi żyją monotonią czasu. Tam, wysoko w górze tego nie ma. Tam cisza sprawia, że człowiek zakłóca ją swoimi myślami. Tam człowiek dostrzega to, co gubi go na ziemi. Tam, czas się zatrzymuje.

Na dole spoglądamy na szczyt ze świadomością, że przed chwilą tam byliśmy. – Wiesz, nie cel się liczy, ale sama podróż... – usłyszałem. – No tak. – odparłem. Ten, który mi towarzyszył i dał z siebie wszystko miał poniekąd rację. Dlatego mimo wszystko było naprawdę warto. Najważniejsze jest to, że Boga nie widziano, nie słyszano, ale można było Go poczuć. Jak wiatr. Nawet w takim miejscu jak Piekielna Dolina. Bo On jest wszędzie. Pukałem do nieba drzwi, ale nie otworzono mi... Najwyraźniej jeszcze nie pora. To który szczyt teraz?

MATEUSZ GODEK

Nauczyciel, o jakim każdy z nas marzy

EWA SZUSZKIEWICZ

Minęło kilkadziesiąt lat od śmierci o. Woronieckiego i ze smutkiem trzeba stwierdzić, że problemy polskiej szkoły o których pisał, są dziś nadal aktualne. Nie po to jednak chcę przywoływać jego spostrzeżenia na ten temat, żeby narzekać na szkolnictwo w Polsce i snuć czarne scenariusze jego przyszłości, ale po to, by każdy z nas wziął je sobie do serca i zrobił, co w jego mocy, by tę sytuację naprawić. Każdy na swoim „podwórku”.

Powołanie

W pracy nauczycielskiej potrzebne jest powołanie, tak jak w kapłaństwie. Nie sprawdzą się w nim osoby przypadkowe. *Głównym czynnikiem w wychowaniu jest moralna wartość samego wychowawcy.* Aby budować charakter uczniów najpierw trzeba mieć dobrze uformowaną swoją własną osobowość. Wymaga to większej pracy nad swym charakterem. Nauczyciel, podobnie jak rodzic, powinien znać naturę ludzką i jej rozwój. *Niezależnie od tego, czego uczy, zawsze jest wychowawcą, dlatego czy będzie astronomem, czy filologiem będzie swoim przykładem zawsze wychowywał.*

Ponieważ nauczanie jest tak ważne, twierdził, że nie można do niego dopuszczać „dyletantów-korepetytorów”, tzn. tych, którzy pracują tylko dla zarobku oraz nauczycieli „urzędników”. Trzeba przygotować – to znaczy wychować i wykształcić prawdziwych pedagogów.

Mało kto zdaje sobie sprawę z tego ile zadowolenia i osobistego szczęścia dać może ta praca, w której człowiek jest współczynnikiem i świadkiem zarazem tego najciekawszego może procesu na świecie, jakim jest stopniowy rozwój umysłu ludzkiego.

Mistrz

Do zadań pedagoga należy nauczanie, zachęta do nauki oraz kształtowanie charakteru poprzez umiejętne wpływanie na wolę i uczucia wychowanków. Nie oznacza to bynajmniej żadnego manipulowania. Nie osiągnięcie tego człowiek smutny, traktujący tę pracę jak „karę za grzechy”. Przeciwnie musi być to osoba pogodna, która radość wywoła u podopiecznych. Jest to potężny środek wychowawczy. Woroniecki twierdził, że jesteśmy narodem sangwiników i w życiu codziennym mamy skłonność do patosu. Zbytnią powagą młodych

zwykle nudzi albo powoduje napięcia, a humor ma właściwości rozprężające. Trzeba się tu kierować cnotą umiarkowania i wiedzieć kiedy jest czas na śmiech, a kiedy na powagę. Stare przysłowie mówi: „Śmiechem naprawiać obyczaje”. *Podstawowym tonem pracy wychowawczej winna być radość i pogoda; kto się nie potrafi na tym punkcie wychować, kto nie umie zapanować nad pokusami smutku i zniechęcenia tak częstymi w zawodzie wychowawczym, ten winien się uważać za zdyskwalifikowanego do tego rodzaju pracy. W żadnym zawodzie usposobienie do smutku nie jest tak szkodliwe i paraliżujące rezultaty jak właśnie w zawodzie wychowawczym: pozbawia ono bowiem tego najsilniejszego środka promieniowania na otoczenie jakim jest radość i pogoda ducha.*

Nauczyciela powinna cechować ogląda towarzyska – poprzez kontakt z nim dzieci powinny nabierać kultury. Do „katalogu” cech pedagoga Woroniecki dodawał jeszcze: (...) *całkowite panowanie nad sobą, w którego skład wchodzi wytrwałość, cierpliwość i długomyślność, następnie stanowczość, surowość i duża konsekwencja w postępowaniu wreszcie życzliwość dla młodzieży, ta umiejętność obniżania się do jej poziomu, łagodność i wyrozumiałość wobec jej błędów i uprzejmość w zewnętrznych formach obcowania.* Nauczyciele nie mogą być poddani nałogom. Najgorsze ich wady to bezkarność lub zbyt mocna surowość. Takie postawy doprowadzą zawsze do zniekształcenia osób, które się miało wychować. Przypomnijmy, że cierpliwość to panowanie nad zniechęceniem a łagodność – nad gniewem. W tej wyliczance cech pedagogicznych jest jedna cnota, która dziś mało jest znana – długomyślność. Woroniecki zaznacza, że w ręku nauczyciela jest ona jak męstwo żołnierza. Należy do cnoty kardynalnej męstwa. Zadaniem jej i cierpliwości jest opanować

 Dokończenie na str. 16

Nauczyciel, o jakim każdy z nas marzy

☞ Dokończenie ze str. 15

zniechęcenie. Dwie te cnoty mają zapewnić nam trwanie w dążeniu do celu pomimo występujących niepowodzeń. Cierpliwość odnosi się do drobniejszych przeszkód, natomiast długomyślność ma za cel nauczyć nas czekać na trudne do osiągnięcia dobro. Nie wolno marnować siły gniewu albo się niecierpliwić, gdy nie widać wyników pracy wychowawczej. Jeśli się posiada tę cnotę, będzie się też miało łagodność, łaskawość, wyrozumiałość. Człowiek to nie automat i trzeba zdawać sobie sprawę przede wszystkim z tego, że podopieczny ma wolną wolę. Można mu wskazywać właściwą drogę, ale ostatecznie to właśnie jego wola pójdzie w tym lub innym kierunku. (...) *nauczyć chcenia; nie tego przemijającego i zmiennego, które zachcianką nazywamy (...), ale tego mocnego i głębokiego napięcia woli, które równo i wytrwale zdąża do raz zamierzonego celu* – to główne zadanie wychowania, jest pracą trudną i wymagającą długiego czasu. Wychowawca ponosi tu ogromną odpowiedzialność, ale musi wiedzieć, że jest w tym procesie tylko współpracownikiem. Najważniejszy jest sam jego przykład, jasne stawianie wymagań, czasem ostrzejsze kary, ale nie powinien się spodziewać szybkich wyników swej pracy. Nie wolno dłużyć palcami w duszach wychowanków. Mocne charaktery krystalizują się po-

woli, tak, jak i wielkie kryształy. Wychowujemy na całe życie, a poza nim na wieczność i ten trwały rezultat, który by pozostał na wieki winniśmy mieć przed oczami we wszystkich naszych pracach wychowawczych.

Współpraca szkoły, rodziców i organizacji młodzieżowych

O. Jacek zauważał potrzebę współpracy rodziców, a także wspierania przez nich i nauczycieli, dobrych, pożytecznych związków i organizacji młodzieżowych. Wskazywał, że w tej dziedzinie brakuje u nas zainteresowania dorosłych, a młodzieży potrzebne jest ich doświadczenie życiowe. Rola ich polega na wspieraniu młodych i „kierowaniu nimi z daleka”. Młodzież musi tu mieć zapewnioną swobodę, konieczna jest w takich kontaktach zażyłość, ale z zachowaniem szacunku i powagi. Do młodych trzeba iść z *młoda duszą i zrozumieniem młodych aspiracji*.

Potrzebne jest podniesienie prestiżu tego zawodu i stawianie mu wysokich wymagań, ponieważ nie ceni się go w Polsce. Oznacza to również zapewnienie nauczycielom godziwych zarobków. W całym społeczeństwie trzeba wzbudzać zainteresowanie dla problemów wychowawczych i przygotować prawdziwych fachowców.

1. Upewnij się, rozeznaj czy masz powołanie do zawodu nauczycielskiego. Jeśli nie, lepiej nie unieszczęśliwiaj uczniów.
2. Podejmij pracę nad swym charakterem, wymagaj najpierw od siebie, dąż do doskonałości. Pamiętaj, w szkole liczy się przede wszystkim dobry przykład, nie moralizowanie. „Słowa uczą, a przykłady pociągają”.
3. Czy jesteś osobą radosną? Radość to jeden z najważniejszych środków wychowawczych. Nikt jeszcze nikogo nie zapalił do nauki przygnębiony i ze smutną miną.
4. Naucz się czekać cierpliwie na wyniki swej pracy wychowawczej, nie spodziewaj się natychmiastowych rezultatów.
5. Dąż do rozwijania współpracy nauczycieli i rodziców.
6. Kieruj się miłością chrześcijańską, traktuj uczniów nie ze względu na to, kim są dla ciebie, ale ze względu na to, kim są dla Boga.

Opisując powołanie nauczycielskie i kapłańskie o. Jacek stawiał im następujący drogowskaz: *Winien on mieć i to, co daje moc, i to, co nie pozwala jej ranić i kaleczyć swą twardością. Krótko to ujął Lacordaire: wychowawca winien być mocny jak diament, a czulszy od matki.*

EWA SZUSZKIEWICZ



Pierwszy Festiwal Opery Współczesnej we Wrocławiu

BARBARA JUŚKIEWICZ

I znowu Pani dyrektor Ewa Michnik zaskoczyła wszystkich – tymi słowami Prezydent Wrocławia otworzył Pierwszy Festiwal Opery Współczesnej, Od 16 do 21 września, podczas sześciu dni festiwalowych można było wysłuchać współczesne dzieła polskich kompozytorów, spotkać się z twórcami w operze wrocławskiej oraz wziąć udział w warsztatach kompozytorskich w Klubie Muzyki i Literatury na placu Kościuszki.

Dziełem inauguracyjnym festiwalu była „Antygona” Zbigniewa Rudzińskiego przyjęta entuzjastycznie przez słuchaczy. Kolejne dni to przedstawienia: „Figle Szatana” i „Rękopis znaleziony w Saragossie” Stanisława Moniuszki, Adama Münchheimera i Rafała Augustyna, „Jutro” i „Kolonja Karna” Tadeusza Bairda, „Ester” Tomasza Praszczalka, „Hagit” i „Król Roger” Karola Szymanowskiego oraz „Raj Utracony” Krzysztofa Pendereckiego. Każde wystawiane dzieło było dla słuchaczy niecodziennym przeżyciem a cały festiwal stał się wielkim świętem współczesnej muzyki. Udało mi się w tych dniach przeprowadzić dwie krótkie rozmowy z kompozytorami na temat inspiracji w ich muzyce i jak współczesny słuchacz może zrozumieć co chce mu autor przekazać.

Zbigniew Rudziński (urodzony w 1935 r.). Studia kompozytorskie (1956-1960) odbył w klasie prof. Piotra Perkowskiego w PSWM w Warszawie (dyplom z wyróżnieniem w 1962 r.). Kontynuował je jako stypendysta rządów: francuskiego (1956-66 u Nadii Boulanger) i holenderskiego (1970-71). W 1973 r. objął klasę kompozycji w PWSM (obecnie AMFC) w Warszawie, gdzie był również kierownikiem Katedry Kompozycji (1980-81) oraz prorektorem (1981-84). Od 1989 jest profesorem zwyczajnym. Prowadzi oprócz klasy kompozycji i instrumentacji symfonicznej także współczesne techniki kompozytorskie. Z dzieł operowych jest autorem „Manekinów” wg Brunona Szulca i „Antygony” wg Sofoklesa.

Gdzie Pan Profesor szuka inspiracji do swoich utworów?

Wszystko zależy od tego, jaki to jest utwór. Jest muzyka, która nie ma nic wspólnego z żadnym tekstem, czysta muzyka, są to utwory na orkiestrę, to

wówczas nie zbieram żadnych materiałów. To wszystko narasta w człowieku. Ważny jest etap uczenia się, zbierania materiałów, rozbudzanie zainteresowań, słuchanie różnych utworów na przykład oper, poznawać co jest co. Jest to niezbędny etap w dojściu do wypowiedzenia się samodzielnie. Trzeba również wybrać środki, jakimi chcemy się wypowiedzieć. Kiedy musiałem napisać moją pierwszą operę „Manekiny”, to musiałem znaleźć libretto, bez tego nie ma opery.

Szukałem czegoś, co dało by się zaśpiewać. Wydawało mi się, że poetycka proza Brunona Szulca będzie najlepszym do tego materiałem. Ogólny pomysł więc miałem a swój tekst w oparciu o Szulca pisałem razem z muzyką.

Czy współczesna muzyka jest trudna w odbiorze? Jeśli tak to dlaczego? Czy wyraża ta muzyka chaos istniejący we współczesnym świecie?

Nie ma czegoś takiego jak współczesna muzyka, są różne muzyki i trudno jest zmieścić je w jednym pojęciu. Muzyka, moim zdaniem, jest najpiękniejszą sztuką i jednocześnie najtrudniejszą. I dlatego jej odbiór jest ograniczony dla człowieka na przykład w porównaniu z literaturą, literaturę bowiem każdy człowiek przeczyta. W słuchaniu muzyki i jej interpretacji potrzeba pewnej wrażliwości i odbiorca muzyki musi być uwrażliwiony na te dźwięki ponie-

waż one nie przenoszą żadnych treści werbalnych, można tylko powiedzieć że muzyka jest szybka albo wolna, głośna albo cicha, ładna albo brzydka. Moim zdaniem jest to zaleta, jeśli tylko słuchacz posiada wrażliwość i odbiera na tych samych falach co ja. W tę muzykę, która jest niezapisaną kartą może włożyć swoje uczucia i odczucia, włożył wszystko. Na tym polega cała przyjemność patrząc od strony kompozytora, że różni ludzie w różny sposób mówią o jego utworze. To jest piękne, że w jednym utworze można w różny sposób siebie odnaleźć.

Rafał Augustyn (urodzony w 1951 r. we Wrocławiu). Kompozycji uczył się u J. Filca i R. Bukowskiego. Studia odbył we wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej u R. Bukowskiego i w katowickiej Państwowej Wyższej



Fot. Arch. Opery Wrocławskiej

„Antygona” we współczesnym wykonaniu przyciąga tłumy widzów.

Szkole Muzycznej u H.M. Góreckiego. Uczestniczył ponadto m. in. w seminarium analityczno-kompozytorskim G. Ligetiego i etnomuzykologicznym W. Malma. Ukończył także filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie do dziś pracuje.

Gdzie Pan szuka inspiracji do swoich utworów?

To jest dobre pytanie. Inspiracje przychodzą czasem same, to znaczy najpierw jest inspiracja a potem utwór –

Pierwszy Festiwal Opery Współczesnej...

Dokończenie ze str. 17

coś trzeba zrobić z tą inspiracją. Są to tak zwane natchnienia, które są przyjemnymi momentami. Po nich następują nieprzyjemne momenty, bo coś trzeba z tymi natchnieniami zrobić, napisać nuty, których są czasem setki tysięcy, jest to po prostu praca fizyczna.

Muszę tu powiedzieć, i to nie dla tego, że mówię do Nowego Życia, że jest to inspiracja z góry i nie mam tutaj żadnych wątpliwości. Później, w procesie pisania utworu, decydującą rolę odgrywa element racjonalny i element kalkulacji.

Proszę podać jakiś przykład kiedy dostał Pan taką inspirację z góry?

Najlepszym na to przykładem będzie mój krótki utwór na chór „Sub Iove”, który napisałem w Ameryce, w lesie, gdzie nagle usłyszałem coś w rodzaju drżącego chóru, który brzmiał jak muzyka elektroniczna. Pomyślałem sobie, że to trzeba zapisać. I tak się stało. Pomyślałem sobie, że przydałby

się do tego jakiś tekst. Później znalazłem tekst u Enniusza, fragment niezachowanej tragedii, tekst który później wykorzystałem ponownie w Symfonii hymnów. Tekst jest poświęcony Jowiszowi jako wszechogarniającej sile sprawczej, ale tytuł jest mój: „Sub Iove” można rozumieć dosłownie „pod Jowiszem” (czyli w świetle ciała niebieskiego), albo idiomatycznie „na wolnym powietrzu”, ale też „pod wpływem sił nadludzkich”.

Momenty nagłej inspiracji mogą też dotyczyć konkretnych rozwiązań w ramach komponowanego utworu. Jeżeli się to szybko zapisze i uchwyci, to wówczas jest połowa pracy mniej.

A jak wygląda sytuacja kiedy pisze Pan utwór na zamówienie?

Wówczas trzeba uzgodnić sprawę. Czasem zdarzało się tak, że dostałem zamówienie i musiałem szukać tematu. Tak było w przypadku „Rękopisu”. Były

to zmuszone poszukiwania tematu, aż wreszcie trafiłem na tekst, który odpowiadał pewnym ogólnym strukturalnym wyobrażeniom. I często tak jest, że natchnieniom trzeba pomóc.

Czy współczesna muzyka jest trudna w odbiorze? Na czym ma polegać nowa wrażliwość w słuchaniu nowej muzyki?

W nowej muzyce nie należy się doszukiwać na siłę tych rzeczy, których w niej nie ma, to znaczy, żeby koniecznie czuć melodię, doszukiwać się symetrycznej budowy, czy harmonii, którą znamy, jakiegoś następstwa, które wydaje nam się logiczne. Nie, lepiej podejść do niej z pewną niewinnością, jak dziecko, i brakiem uprzedzeń, i słuchać tego jak teatru czy jak filmu. Trzeba ją oglądać jak pewien abstrakcyjny obraz, który ma swoją wewnętrzną logikę; ta logika nie musi się tłumaczyć językiem, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. W związku z tym mój wysiłek jako człowieka, który usiłuje sobie wyobrazić



Balet w Operze Wrocławskiej

słuchacza idzie w tę stronę, aby dać mu jakąś wyrazistą fabułę, czy rodzaj pewnych ciągłych zdarzeń, które mogą mieć bardzo różne kształty.

I te kształty jakoś się do siebie mają. Słuchając nowej muzyki trzeba się jakoś na nią otworzyć i umieć być otwartym na niespodzianki. Trzeba wiedzieć, że warto jednego utworu słuchać parę razy.

Erik Christensen, Duńczyk, napisał świetną książkę o psychologii odbioru nowej muzyki, w której dowodzi, że by dobrze zrozumieć nieznaną utwór, trzeba go wysłuchać siedem razy.

Dziękuję za rozmowę.

Przeciętny chrześcijanin swą wiedzę o judaizmie i Żydach w czasach Chrystusa Pana przede wszystkim czerpie z kart Ewangelii oraz książek starających się mu przybliżyć prawdy wiary chrześcijańskiej. Stąd z pewnością wynika duża liczba uproszczeń i schematów, na które nakładają się późniejsze historyczne dzieje chrześcijaństwa i judaizmu.

Choćby z tego powodu z zacięciem przyjąłem książkę księdza Mariusza Rosika, który w przystępnej dla średnio przygotowanego czytelnika formie stara się omówić najważniejsze ryty obrzędowości oraz nurty myślowe, charakterystyczne dla Żydów w około I wieku naszej ery. Już na początku swej pracy autor zaskakuje nas stwierdzeniem, że znany nam z Pisma Świętego „judaizm faryzejski, zwany później rabinicznym, stanowi jedyny model normatywny judaizmu I stulecia. Judaizm helleniski, rozwijający się w diasporze, miał wzorować się na palestyńskim. Krytyczna analiza źródeł pisanych tamtego okresu (bądź mówiących o nim) wraz z wynikami badań archeologicznych odsłaniają nieco inny obraz religii Żydów; obraz bardziej skomplikowany i zawiły. Składają się nań odmienne w różnych środowiskach żydowskich interpretacje tych samych przepisów Prawa i rytów.” W samej Palestynie Judaizm, w opinii autora książki nie był zjawiskiem jednorodnym: „Judaizm palestyński nie może być w pełni utożsamiany z myślą faryzejską. Jest prawdą, że faryzeusze mieli największy wpływ na sposób rozumienia Prawa, a w związku z tym również na praktyki judaizmu czasów Jezusa. Jednak nauczanie saduceuszy, esseńczyków czy zelotów również należy do dziedzictwa judaizmu faryzejskiego.

Na kartach pracy autor stara się stopniowo wyjaśnić wszystkie interpretacje Tory oraz pisma i tradycje, które stopniowo w różnych odłamach społeczności żydowskiej pojawiały się, były przez nie przyjmowane, przyczyniając się do reinterpretacji obowiązujących gdzie indziej sposobów rozumienia religii mojszowej. Niekiedy poszczególne interpretacje różniły się między sobą tak znacznie, iż ksiądz Rosik pokusił się o stwierdzenie, że „judaizm czasów Jezusa był bardziej sposobem życia i widzenia świata niż systemem doktrynalnym”. W swoich dociekaniach autor oparł się zarówno na literaturze nauko-

Książka

Judaizm w czasach Jezusa

PIOTR SUTOWICZ

wej, jak i na źródłach, z których wymienił prace Józefa Flawiusza, Filona z Aleksandrii, pisma apokryficzne Starego Testamentu pisma powstałe w diasporze greckiej oraz manuskrypty znad Morza Martwego i literaturę rabiniczną. Pisma te powstawały w różnych środowiskach i okolicznościach, stając się źródłem do badania mentalności ich autorów. Jednocześnie pokazują one różnorodność myśli judaistycznej i jej doktrynalną niejednorodność. W tym miejscu warto przytoczyć dokonaną przez autora książki charakterystykę najważniejszych nurtów czy raczej ugrupowań religijnych. Jako pierwszych i najbardziej znanych z kart Ewangelii należy wymienić faryzeuszy. Co do ich roli w społeczności żydowskiej panują, zdaniem księdza Rosika, przeciwstawne poglądy. Jeden z nich mówi o przemożnym wpływie faryzeuszy na życie publiczne i utrzymanie przepisów religijnych, drugi zaś stawia tezę o niewielkim zasięgu oddziaływania ugrupowania w ojczyźnie Jezusa, ta opinia ma wynikać z nie-

ceusze, podzielali oni wierzenia religijne judaizmu, lecz odrzucali pojęcie duszy nieśmiertelnej, zaś to obecny świat jest miejscem spotkania człowieka z Bogiem.

Kolejnym ugrupowaniem wyrastającym z tradycji judaizmu są esseńczycy, utożsamiani z qumrańczykami, współcześnie znani przede wszystkim za sprawą znalezionych w pieczarach nad Morzem Martwym pism. Prowadzili oni życie monastyczne, choć, zdaniem autora, powiązane z życiem rodzinnym. W odróżnieniu od kultu świątynnego, qumrańczycy nie składali ofiar krwawych. Mimo wielu zarzutów, jakie esseńczycy kierowali pod

adresem kapłanów, w największe święta wysyłali swych przedstawicieli do Świątyni w Jerozolimie, ci trzymali się na uboczu, chroniąc się w miejscu przeznaczonym dla cysty Nazirejczyków. Jak w każdym narodzie pozbawionym własnej państwowości, tak i wśród Żydów w czasach Jezusa występowały ugrupowania cechujące się dużym radykalizmem. W książce wymienieni zostali zeloci oraz ich radykalne skrzydło sykaryjczy, chociaż mówiąc o nich, trzeba tu widzieć raczej filozofię niż stronnictwo „o ustalonej strukturze”. Za swego rodzaju partię polityczną należy uważać również Herodian, ugrupowanie utworzone przy dworze Heroda Antypasa lub Heroda Wielkiego, ich skrajne skrzydło uznawało w Herodzie Wielkim mesjasza.

Jako odrębna grupa w książce potraktowani zostali uczeni w piśmie, cieszący się dużym autorytetem społecznym, choć „w większości byli oni fary-

zeuszami.” Grupa ta była otwarta społecznie, tzn. każdy Izraelita mógł starać się o to, by zostać uczniem w Piśmie.

Przegląd grup i stronnictw kończy opis Samarytan, którzy budzili w społeczeństwie żydowskim raczej złe uczucia, choć ich wierzenia wyrastały z Pięcioksięgi Mojżesza. Kult świątynny sprawowali oni na Górze Garizim, wokół której zamieszkiwali. Często uważani są za odrębną względem Żydów grupę etniczną, mimo iż sami uważali się za potomków Manassesza, Efraima i Lewiego.

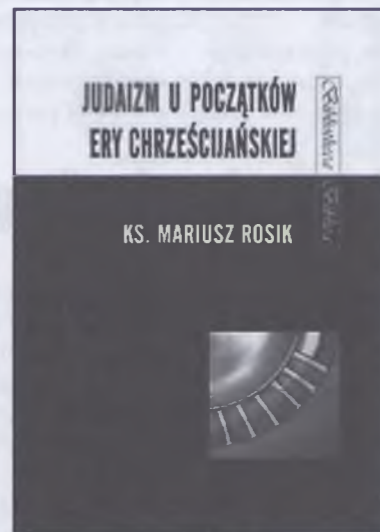
Sporo miejsca w pracy księdza Rosika poświęcone zostało kultowi świątynnemu, a szczególnie ofiarom, jakie tam składano. Czytelnik dowie się również

sporo o roku liturgicznym w judaizmie, i jego świątach, które czcił również Chrystus i Jego Apostołowie. Widzimy tu wyraźnie również historyczne nawarstwienie kolejnych tradycji odnoszących się do historii Izraela. Wreszcie warto zapoznać się ze zwyczajami żydowskimi, codziennymi modlitwami, obrzędami weselnymi, obrzezaniem czy śmiercią Izraelity. Ciekawe jest też przedstawienie roli

synagog w społeczeństwie żydowskim I wieku, gdyż w późniejszym czasie stanie się ona fundamentalną instytucją religii judaistycznej i miejscem kształtowania się interpretacji religijnych przez szkoły rabiniczne. Właściwie cały ten świat, w jakim żyli wyznawcy Izraela, nie będący w diasporze, miał runąć w roku 70 po narodzinach Chrystusa. Instytucja Świątyni upadła wraz z budowlą. Wyznawcy religii Mojszowej musieli dostosować się do nowych warunków przeinterpretowując dotychczasowe nauki.

Omówiona tu książka wydaje się być bardzo ciekawą propozycją dla tych którzy chcieliby szerzej spojrzeć na pewne kwestie wzmiarkowane w Nowym Testamencie, pozwalając na szerszą historyczno-obyczajową interpretację pewnych realiów życia Chrystusa. Podstawową zaletą tej pracy jest fakt napisania jej dość przystępnym językiem, przy użyciu przez autora naukowego warsztatu.

Ks. Mariusz Rosik, *Judaizm u początków ery chrześcijańskiej*, Wydawnictwo TUM, Wrocław 2007 s. 247



Katechizm i życie

Choć „pragnienie Boga wpisane jest w serce człowieka”, wielu żyje dziś tak, iż trudno jest przyjąć tę katechizmową prawdę bez żadnych wątpliwości. Na szczęście są jeszcze wśród nas i tacy, których przykład autentycznej wiary i zdrowej pobożności może podnosić na duchu. Co sprawia, że jedni wierzą w Boga, a inni nie? Co przeszkadza w przyjęciu wiary? Jak pomóc niewierzącym uwierzyć w Jego istnienie?

Gdyby przyjąć bardzo uproszczony podział na ludzi wierzących i niewierzących, to okazałoby się, że jest on nieprawdziwy, bo zasadniczo nie ma ludzi niewierzących. Każdy w coś wierzy. Akt wiary jest więc wpisany w ludzką naturę i dokonuje się na co dzień.

Wiara posiada dwa podstawowe znaczenia: „wiara, że” i „wiara w”. To pierwsze określenie oznacza treść wia-

ka wskazują, że dusza ludzka jest w sposób naturalny religijna. Każde więc człowiekowi szukać Boga jako punktu odniesienia dla swojego życia, po to, by uczynić je sensownym. Jedną z możliwości poznania Stwórcy daje nam rozum. Kiedy patrzymy na świat i na człowieka, zwłaszcza na jego stronę duchową, intelekt, wolność, nie znajdujemy innej przyczyny dla tych dzieł jak

Dlaczego jedni wierzą, a inni nie?

ry, drugie – jej przedmiot. Te dwa pojęcia są ze sobą bardzo ściśle powiązane. Treść wiary zależy od aktu zaufania czy wierzę temu, co Bóg powiedział, czy Jego Słowo jest dla mnie programem życia, normą postępowania. Towarzyszy mu łaska, czyli ustawiczna pomoc Boża dawana każdemu do właściwej percepcji świata. Jeżeli natomiast jako przedmiot wiary przyjmujemy Boga, to zauważymy, że nie wszyscy wierzą w Jego istnienie, nie wszyscy też Jemu wierzą.

Jednakże nauka Kościoła, Pismo Święte, a także analiza natury człowie-

tylko tę pierwszą, którą – według słów św. Tomasza z Akwinu – „wszyscy nazywają Bogiem”.

Człowiek nie wie sam z siebie, że dobro należy czynić, a zła unikać. To głos sumienia, który się w nim odzywa, zmusza go do stawiania sobie pytań typu: skąd jest ten świat? Skąd wziął się jego naturalny porządek? Kto ustanowił prawo moralne?

Dlaczego więc niektórzy nie dostrzegają istnienia wszechmogącego Boga? Łańcuch przyczyn jest długi. Może to wynikać z zawężenia horyzontów poznania tylko do tego, co mierzalne i co daje się

ująć zmysłami. Perspektywa Boża w sposób naturalny nie będzie wówczas objęta polem widzenia, bo przecież Najwyższy przekracza wszystko, co zmysłowe.

Wiarę w Boga utrudniają też postawy praktyczne, które albo każą przyjmować stanowisko deistyczne – mówiące że On jest absolutną transcendentą, ale tak absolutną, że nie ma nic do powiedzenia w moim życiu – albo całkowicie odrzucać Jego istnienie jako prowadzący, moralnego gwaranta i głosu sumienia. Archetyp tej często dziś występującej postawy odnajdujemy w zachowaniu Adama po grzechu pierwotnym, gdy ten schował się przed Bogiem w krzaki. To naturalna reakcja człowieka. Kiedy ktoś podejmuje bowiem grzeszny, niezgodny z sumieniem styl

życia, wtedy woli schować się przed wzrokiem Najwyższego „w krzaki” niepamięci o Jego istnieniu. Biblijny obraz pokazuje nam także, że Stwórca przechadza się po ogrodzie i woła do Adama: *Gdzie jesteś?* (Rdz 3,9). Bóg szuka więc człowieka i nigdy o nim nie zapomina. To człowiek może Go odrzucić, nie chcąc wywiązywać się ze zobowiązań wynikających z międzyosobowej relacji, przez co zamyka oczy na Jego rzeczywistość, w myśl powiedzenia Fiodora Dostojewskiego, że „jeżeli Boga nie ma, to wszystko wolno”.

Inne przyczyny niewiary to – jak uczy Katechizm Kościoła Katolickiego – „bunt przeciwko złu w świecie, niewiedza lub obojętność religijna, troski doczesne i bogactwa, zły przykład wierzących, prądy umysłowe wrogie religii”.

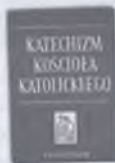
Najlepszą metodę zbliżania ludzi do Przedwiecznego wypracował św. Paweł, który mówił do Ateńczyków, że chce głosić im Boga prawdziwego, choć nieznanego. Warto więc proponować niewierzącym wspólne poszukiwanie takiego przedmiotu wiary, którym z jednej strony jest ów Wielki Nieznany, z drugiej zaś Ktoś, kto ustawicznie towarzyszy człowiekowi, kto z miłości do nas wydał na śmierć nawet swojego Syna. Zawsze też trzeba świadczyć o Bogu swoim życiem. To zwykle dociera do świadomości najmocniej.

Z Katechizmu Kościoła Katolickiego

Art. 27. Pragnienie Boga jest wpisane w serce człowieka, ponieważ został on stworzony przez Boga i dla Boga. Bóg nie przestaje przyciągać człowieka do siebie i tylko w Bogu człowiek znajdzie prawdę i szczęście, których nieustannie szuka (...).

Art. 29. Człowiek może jednak zapomnieć o tym „głębokim i żywotnym połączeniu z Bogiem”, może go nie dostrzegać, a nawet wprost je odrzucać. Źródła takich postaw mogą być bardzo zróżnicowane: bunt przeciw obecności zła w świecie, niewiedza lub obojętność religijna, troski doczesne i bogactwa (por. Mt 13,22), zły przykład wierzących, prądy umysłowe wrogie religii, a wreszcie skłonność człowieka grzesznego do ukrywania się ze strachu przed Bogiem (por. Rdz 3, 8-10) i do ucieczki przed Jego wezwaniem (por. Jon 1,3).

Art. 30. *Niech się weseli serce szukających Pana* (Ps 105,3). Nawet jeśli człowiek może zapomnieć o Bogu lub Go odrzucić, to Bóg nie przestaje wzywać każdego człowieka, aby Go szukał, a dzięki temu znalazł życie i szczęście. Takie szukanie wymaga od człowieka całego wysiłku jego rozumu, prawości woli, „szczerego serca”, a także świadectwa innych, którzy uczyliby go szukania Boga.



Okruszek

Jubileuszowe
wspomnienie

PISEMKO DLA DZIECI



Kochani Przyjaciele Okruszka! W czerwcu minęło 25 lat od czasu, gdy we Wrocławiu wydrukowano pierwszy numer „Nowego Życia”. Większości z Was na pewno jeszcze wtedy nie było na tym świecie, a wspomniane ćwierćwiecze może wydawać się wam wiecznością. Co prawda, „Okruszek” – jako część naszego czasopisma – pojawił się trochę później (na początku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku), ale i tak najprawdopodobniej nie pamiętacie jak wyglądał i jak się zmieniał. Dlatego właśnie postanowiliśmy zaprezentować pierwszą stronę „Okruszka” z wybranych numerów „Nowego Życia” na przestrzeni minionych lat. Miłego oglądania!

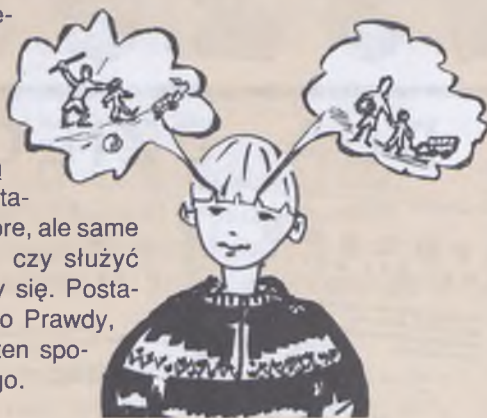
A może ktoś z was ma interesujący pomysł na to, jak mógłby prezentować się „Okruszek” w następnych numerach (co chcielibyście tam zobaczyć, o czym przeczytać)? Prosimy – napiszcie!



KTÓREGO ANIOŁA SŁUCHASZ?

Szatan to nie sympatyczny „diabełek”, ale pełen złej mocy i ciemności inteligentny duch, który chce zawładnąć życiem człowieka, aby ten nie poznał i nie pokochał Boga.

Szatan i inne złe duchy istnieją naprawdę. Są upadłymi aniołami. Zostały stworzone przez Pana Boga jako dobre, ale same uczyniły się złymi – mogąc wybrać, czy służyć Dobremu Bogu, czy nie – zbuntowały się. Postanowiły odrzucić Boga i Jego Królestwo Prawdy, Sprawiedliwości, Pokoju i Miłości. W ten sposób powstało piekło – Królestwo Złego.



Jestem przy Tobie, pamiętam, czuwam... – śpiewamy codziennie w Apelu Maryjnym o godz. 21.00, łącząc się z pielgrzymami na Jasnej Górze w Częstochowie. Co to znaczy: czuwam? To znaczy: jestem uważny, aby mnie zło nie zaskoczyło i nie przechrzytło.

Duchy te robią wszystko, żeby człowieka przyłączyć do swojego buntu przeciwko Panu Bogu. Ponieważ są inteligentniejsze od nas, używają różnych podstępów, aby mnie i ciebie oszukać, zwieść. Usiłują niepostrzeżenie zasiać w naszych sercach wątpliwości, żebyśmy Panu Bogu nie ufali, nie kochali Go i nie służyli Mu. Żebyśmy wybierali zło. A zło, które nam podsuwają, ubierają często w płaszczyk dobra i piękna. Ich podszepty nazywamy pokusami.

Na szczęście, Pan Jezus – przyjmując dobrowolnie śmierć na krzyżu i zmartwychwstając – pokonał szatana. I ten, kto naprawdę należy do Jezusa, kto na serio Go kocha, słucha i naśladuje w swoim życiu – nie musi się lękać! W Mocy Jezusa Chrystusa może zwyciężać Złego w swoim życiu.



MODLITWA DO ŚW. MICHAŁA ARCHANIOLA
 Święty Michale Archanielu, broń nas w walce, a przeciw niegodziwości i zasadzkom złego ducha bądź nam obroną. Niech go Bóg pogromić raczy, a Ty, Książę wojska niebieskiego, szatana i inne złe duchy, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą, Mocą Bożą strąć do piekła. Amen

Po to także **Pan Bóg daje nam pomocników:** są nimi Aniołowie.

Michał Archanioł to wódz zastępów anielskich, ksiązę wojska niebieskiego. To ten, który w czasie buntu niektórych aniołów wybrał służbę Stwórcy. To on, z okrzykiem „**Któż jak Bóg!**”, oddał się całkowicie Bogu i otrzymał od Niego moc do zwycięstwa

MODLITWA DO ANIOŁA STRÓŻA
 Aniele Boży, Stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój! Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze do pomocy! Strzeż mnie od wszelkiego złego i zaprowadź mnie do żywota wiecznego. Amen.

i strącenia upadłych aniołów z nieba. Odtąd wspomaga w tej walce duchowej wszystkich, którzy go wzywają.

Anioł Stróż – to nie „aniołek”, ale pełen mocy i światła anioł-strażnik dany człowiekowi przez Boga, aby wspomagał go na drodze do zbawienia. Przyjaźń z tym aniołem (wzywanie go w modlitwie, obraz Anioła Stróża w pokoju, wsluchiwanie się w jego podpowiedzi) to współdziałanie z nim dla dobra własnej duszy i ciała, a także pewność jego obrony, mocy i prowadzenia.

Czujne dziecko Boże pragnie odróżniać zło od dobra i wybierać dobro. Nie chce ulegać pokusom do złego, uważa więc, aby słuchać podpowiedzi swojego Anioła Stróża.

By być tak czujnym, każdego poranka i wieczorem, nawiązuj z nim kontakt (modlitwą – przed jego obrazem albo tam, gdzie ci się przypomni). Staraj się też tak się z nim zaprzyjaźnić, żeby trwać z nim w stałej łączności – przez cały dzień. W każdej sytuacji wzywaj Go na pomoc, dziękuj mu za nią i – tak jak z prawdziwym przyjacielem – rozmawiaj o wszystkim. Bo przecież po to Pan Bóg ci go posyła. A z takim przyjacielem – nic ci nie będzie straszne!





PRZESKAKIWANKA



Jak brzmi imię świętej, którą Pan Jezus wybrał, aby cały świat usłyszał o Miłosierdziu Bożym (jej wspomnienie obchodzimy 5 października)? Odczytasz je, rozpoczynając od litery F i przeskakując cały czas tę samą liczbę liter.

Uwaga! Uwaga!

Przypominamy o ZADANIACH SPECJALNYCH (do wyboru lub wszystkie) przygotowujących SZA (Specjalne Zgromadzenie Aniołów) – prosimy o współpracę katechetów!

1. WYKONAJ ANIOŁA – na kartce A4, kredkami, farbami lub inną techniką – starannie, kolorowo, a przede wszystkim samodzielnie.
2. UŁÓŻ MODLITWĘ do swojego Anioła Stróża (krótką – wierszem albo prozą).
3. OPISZ SWOJĄ „PRZYGODĘ” Z ANIOŁEM – na pewno nieraz prosicie Go o pomoc, może prowadziłeś z Nim rozmowę specjalną... (niech to będzie krótki opis, na jednej stronie zeszytowej).

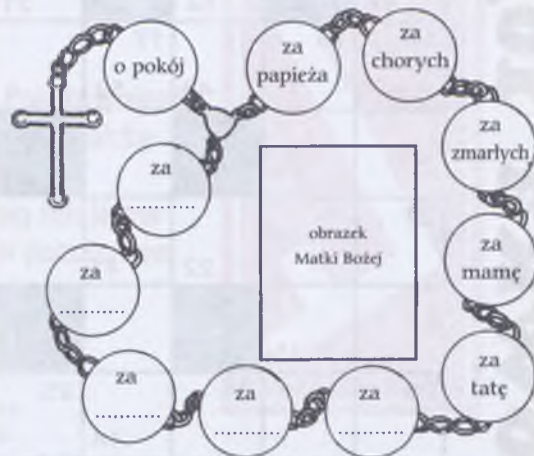
Prace prześlijcie do redakcji Okruszka albo na adres: mmzyro@wp.pl do 30 listopada br., pamiętając o czytelnym ich podpisaniu (imię, nazwisko, wiek, adres z kodem). Wezmą one udział w Konkursie, a najładniejsze będą zakwalifikowane na wystawę SZA. Czekaamy i pozdrawiamy wszystkich naszych sympatyków!



PAŹDZIERNIK

Różaniec

Miesiąc październik jest miesiącem różańca św. Modlimy się na różańcu w domu lub w kościele, na nabożeństwie różańcowym.



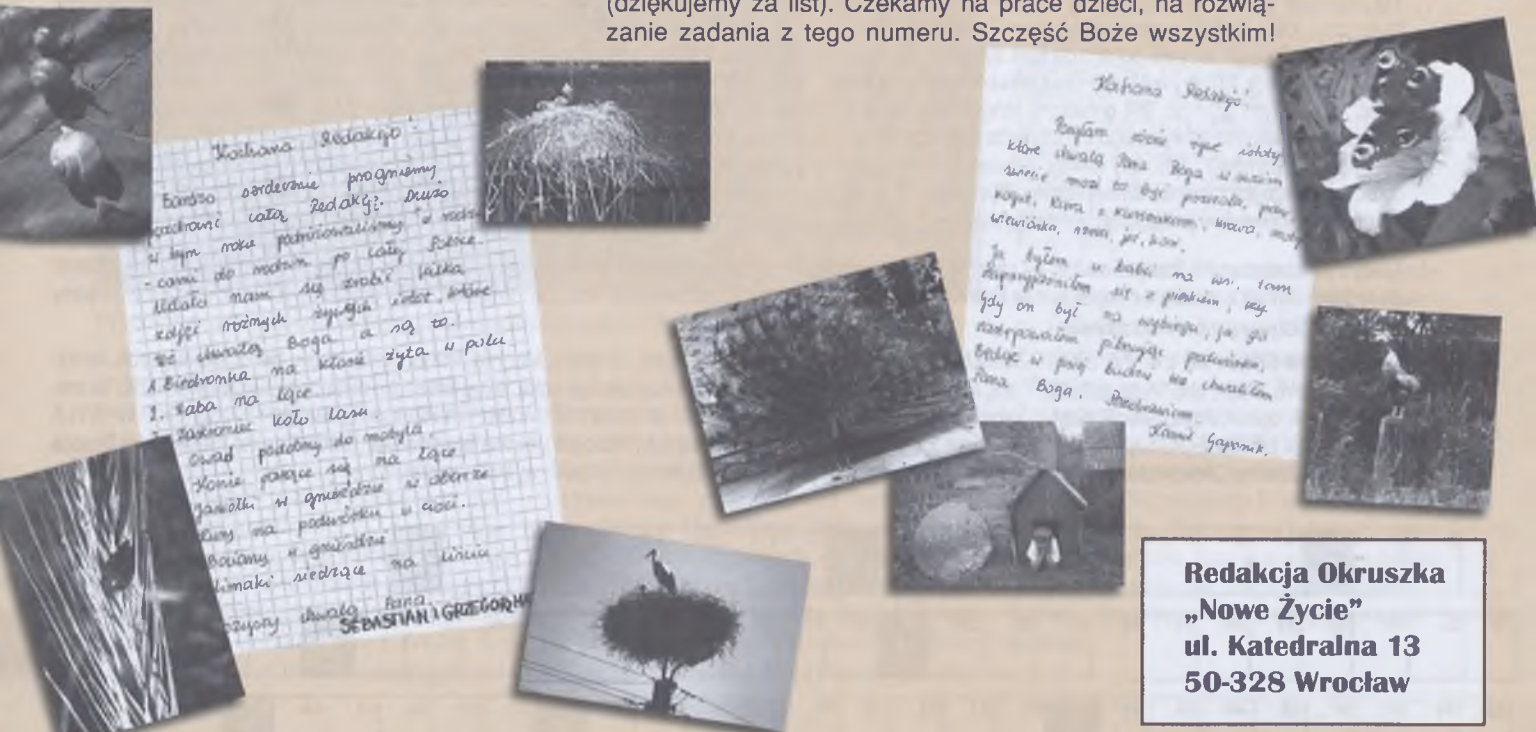
Gdy odmówisz dziesiątek różańca, zamaluj kratkę w kalendarzu:

1	2	3	4	5	6	7
8	9	10	11	12	13	14
15	16	17	18	19	20	21
22	23	24	25	26	27	28
29	30	31				

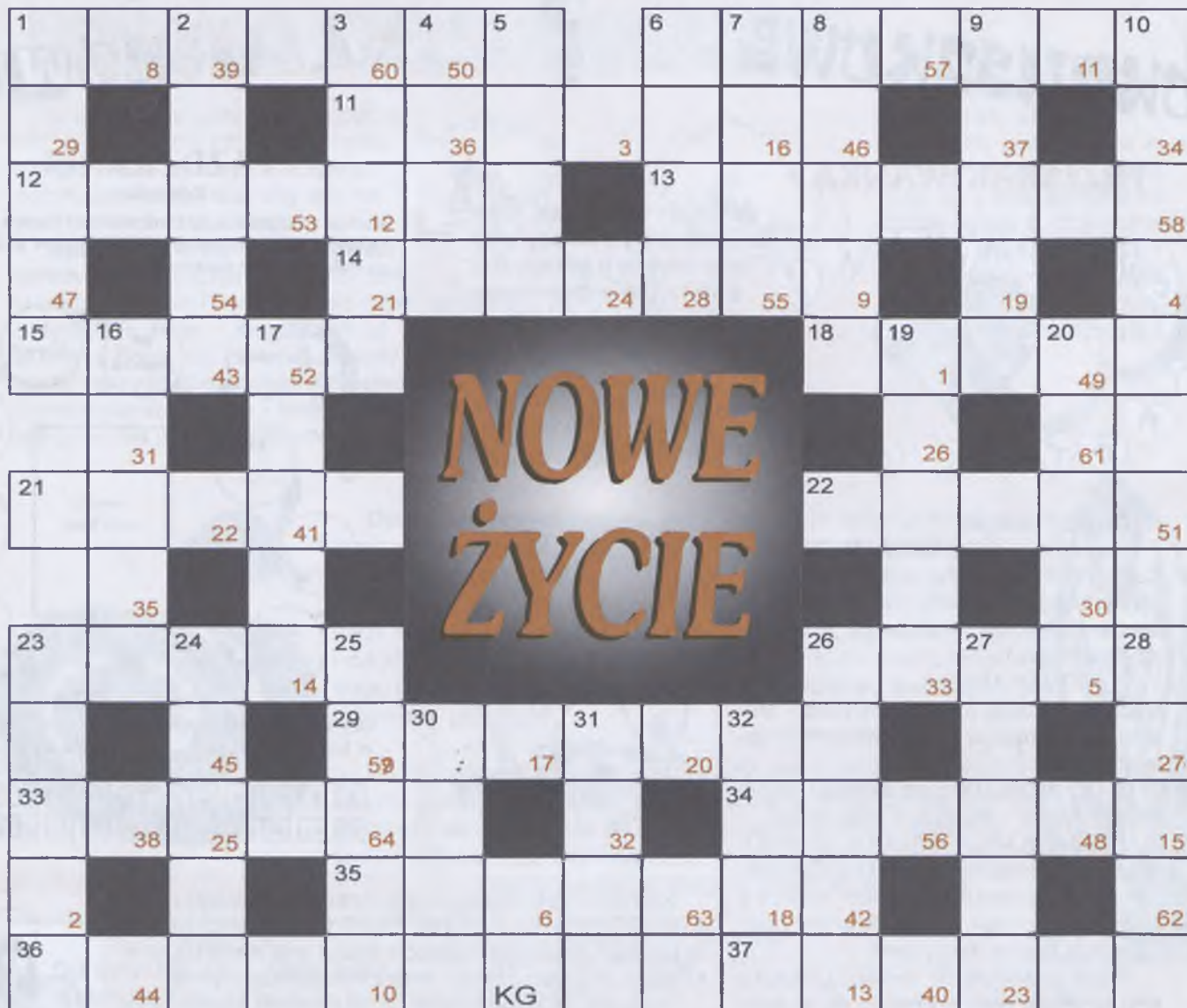
Kochani! Rozstrzygnięty został konkurs pod hasłem: CAŁE STWORZENIE WIELBI CIEBIE, PANIE. Najpiękniejsze fotografie przestali: Sebastian i Grzegorz Mazur oraz Kamil Gaponik z Zabrza. Wybrane zdjęcia – wraz z listami prezentujemy.

Nagrodę za rozwiązania Okruszkowych Łamigłówek z n-ru 6/2008 (oraz wyczerpujące informacje związane z naszymi zadaniami zawarte w obszernych listach) otrzymuje Paulinka Leśniak z Rogoża. Gratulujemy wszystkim laureatom! Nagrody otrzymacie drogą pocztową.

Pozdrawiamy wszystkich sympatyków „Okruszka” (szczególnie p. Andrzeja Suchowieckiego z Wrocławia (dziękujemy za list). Czekaamy na prace dzieci, na rozwiązanie zadania z tego numeru. Szczęść Boże wszystkim!



**Redakcja Okruszka
„Nowe Życie”
ul. Katedralna 13
50-328 Wrocław**



POZIOMO: 1) państwo bałkańsko-czarnomorskie o większości prawosławnej, które odwiedził Jan Paweł II w maju 1999, 6) dawniej: szacunek, poważanie, 11) potocznie: mały biznes, drobna przedsiębiorczość, 12) lubi zwiedzać własny kraj i obce strony, 13) przechytrył 40 rozbójników i dostał się do Sezamu w znanej baśni arabskiej, 14) nieudane ciasto, 15) miasto nad Jeziorakiem, 18) zespół muzyczny, który kiedyś towarzyszył Markowi Grechucie, 21) tak bohaterowie „Trylogii” nazywali pokarm dla koni, 22) potocznie: spora powierzchnia ziemi, 23) góry w Afryce Północnej lub książka z mapami (więc także z tymi górami), 26) organizm, który może żyć tylko w środowisku tlenu atmosferycznego, 29) odmierza nam czas na rękę, 33) głośna „rozmowa” żab, 34) dawny żołnierz jazdy ciężkiej cudzoziemskiego autoramentu, 35) kwit kasowy, 36) urządzenie, sprzęt, 37) część umeblowania w przedpokoju, do którego wstawiamy parasole.

PIONOWO: 1) nazwisko rodowe papieża Piusa XI, 2) narzut, stosowany przez sklep przy sprzedaży towarów otrzymanych z hurtowni, 3) wnęka, wgłębienie w ścianie, 4) miasto w pln. Rosji (Republika Komi), zbudowane w latach czterdziestych XX w. głównie przez lagierników, 5) napad, też formacja piłkarska, 6) duże, choć wysychające jezioro w Kazachstanie, 7) przedrostek pochodzenia greckiego w złożeniach oznaczających przekazywanie na odległość głosu, obrazu, a nawet myśli (...fon, ...wizja), 8) końcowy odciłek grubego, 9) potocznie: niedorajda, fajtlapa, 10) ucztą pierwszych chrześcijan, 16) odgłos flagi poruszanej przez wiatr, 17) duży motyl znad wód o dużych przezroczystych skrzydłach, 19) w mitologii greckiej: córka Tantala, matka 14 dzieci, zamieniona później w skałę, 20) posag panny młodej, 23) miasto w środk. Włoszech; też tkanina na eleganckie ubrania, 24) książka żeglarska z przepisami ruchu na wodach, 25) pomieszczenie gospodarcze na narzędzia, 26) roślinny motyw zdobniczy, 27) dawniej: parobek, ubogi pracownik rolny, 28) dziecięca gra ruchowa, 30) praca w pełnym wymiarze godzin, 31) członek ludu pochodzenia mongolskiego, wytepionego w VIII w., 32) grecki bóg miłości.

Litery z pól oznaczonych liczbami od 1 do 64 utworzą hasło – werset z 9. rozdziału Księgi Syracha, stanowiące rozwiązanie całego zadania. Należy je przysłać do redakcji do końca miesiąca z dopiskiem na kopercie lub kartce pocztowej: „Krzyżówka z nr. 10/2008”. Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy nagrody. Życzymy przyjemnej rozrywki.

Rozwiązanie Krzyżówki z nr. 7-8/2008. **POZIOMO:** Sykstus, kibitka, Edwarda, dziurka, Ezdrasz, Marysia, Erato, czeta, Yates, zwrot, słoma, tarok, topaz, Edyta, jąderko, plaga, oho, fryga, cebulki, Trani, Ada, Lioba. **PIONOWO:** Sydney, Klimat, termos, udka, swar, kres, Idzi, badacz, traser, Aszwat, radio, terma, zwiad, towot, opłata, Azjaci, Teofil, ryzyko, kabała, tupot, doba, Ehud, rola. **HASŁO:** ROZKAZEM SWYM PAN RZUCA BŁYSKAWICE I SZYBKO WYSYŁA PIORUNY SŁUGI SWEGO SĄDU (Syr 43,13). Nagrody wylosowali: **Barbara Sawreka (Wrocław)**, **Iwona Stasiowska (Bardo Śląskie)**, **Stanisława Brzoza (Zawonia)**, **Joanna Cackowska (Brwinów)**, **Agnieszka Pawłowska (Jeżowe)**. Gratulujemy. Nagrody wysłamy pocztą.



Rodło promieniuje z Wrocławia

TADEUSZ SZCZYRBAK

W roku 2008, Jubileuszowym roku 70. rocznicy ogłoszenia Prawd Polaków spod Znak Rodła proklamowanych przez naszych przodków na Kongresie Polaków w Berlinie 6 marca 1938 r. w największej sali widowiskowej Theater des Volkes, Rada Osiedla Szczepin we Wrocławiu przeprowadziła szereg inicjatyw historyczno-edukacyjnych mających na celu przypomnienie nowym pokoleniom Polaków wielki skarb ideowy Związku Polaków w Niemczech.

Organizując 2 marca 2008 uroczystość w Sali Wielkiej Ratusza (spotkanie to Józef Młynarczyk z Hamburga, prezes ZPwN w latach 1997-2004, nazwał II Kongresem Rodła), rajd rowerowy RODŁO TOUR we Wrocławiu w dniu 6 maja 2008 r. na trasie miejsc związanych z Polonią Wrocławską, wyjazd do Berlina w dniach 5-8 czerwca 2008 Szlakiem Polaków spod Znak Rodła, wydając trzy numery „Głosu Rodła”, staliśmy się czynem wykazać, że nasz narodowy katechizm – Prawdy Polaków: Jesteśmy Poakami! Wiara Ojców naszych jest wiarą naszych dzieci! Polak Polakowi bratem! Co dzień Polak Na-

zowali bowiem radni Osiedla Szczepin Tadeusz Czerniewski i Tadeusz Szczyrbak, zapraszając młodzież szkolną z Gimnazjum nr 28 im. Kawalerów Orderu Orła Białego we Wrocławiu. W godzinach porannych 5 czerwca oddaliśmy hołd polskim bohaterom wojennego Wrocławia, składając kwiaty przy Pomniku Polskiego Ruchu Oporu „OLIMP” w 66. rocznicę aresztowania polskiej grupy konspiracyjnej (Rada Osiedla Szczepin sprawuje opiekę nad tym miejscem pamięci narodowej), aby po południu w Berlinie na cmentarzu Friedrichshein w modlitwie i zadumie wspominać polskich żołnierzy poległych w wal-

Fot.: Karol Samulski



Przed bramą obozu koncentracyjnego Sachsenhausen-Oranienburg

rodowi służyć! Polska Matką naszą, nie wolno mówić o Matce źle! – to zdania wciąż aktualne, mądre, uniwersalne, ponadczasowe i bardzo potrzebne dzisiejszym pokoleniom Polaków w Polsce i poza jej granicami.

Warto szczególnie odnotować nasz pobyt w Berlinie w dniach 5-8 czerwca 2008 jako swoistą lekcję żywej historii pt. Szlakiem Polaków spod Znak Rodła. Wyjazd do stolicy Niemiec zorgani-

zowali o Berlin w kwietniu i maju 1945 r. Poruszając się w Berlinie mieliśmy z jednej strony opiekę duchową w osobie ks. Stanisława Draguły, a z drugiej wytrawnego przewodnika Józefa Młynarczyka z Hamburga, który w latach 1997-2004 był Prezesem Związku Polaków w Niemczech. Praktyczna znajomość tak dużego miasta przydała się w szczególności podczas odwiedzin Unter den Linden (Aleja Lipowa), którą



70 lat temu przemierzali Polacy w drodze na Kongres Berliński, przy okazji nawiedzenia katedry pw. św. Jadwigi Śląskiej (nowy kościół) skąd w kwietniu 1939 r. wyprowadzono ciało zmarłego ks. patrona dr. Bolesława Domańskiego, prezesa Związku Polaków w Niemczech, niezłomnego proboszcza z Zakrzewa, przy Bramie Brandenburskiej, Reichstagu, Murze Berlińskim, a także oglądając panoramę miasta z wieży telewizyjnej oraz płynąc statkiem po Szwepwie.

Wielkim przeżyciem był dla nas wszystkich pobyt w położonym 30 km na północ od Berlina niemieckim obozie koncentracyjnym Sachsenhausen – Oranienburg. Oprawdająca nas po obozie przewodniczka stwierdziła, że jesteśmy w tym roku trzecią grupą z Polski, a pierwszą, która się tu modli. W obozie więziono między innymi 169 profesorów i pracowników naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, członków Związku Polaków w Niemczech, a także Stefana „Grota” Roweckiego Komendanta Głównego Armii Krajowej.

We wszystkich miejscach, które odwiedziliśmy, zawsze były z nami obecne Prawdy Polaków spod Znak Rodła, Znak Rodła, biało-czerwona flaga, herb Wrocławia oraz logo Rady Osiedla Szczepin. Na pewno zostawiliśmy za Odrą dobry ślad i zdobyliśmy jako organizator doświadczenie na przyszłość. W roku 2009 przypada bowiem 70. rocznica wybuchu II wojny światowej i miejsca pamięci związane z martyrologią Narodu Polskiego na terenie Niemiec koniecznie trzeba odwiedzić i uporządkować.

Jan Paweł II

WYCHOWAWCA MŁODYCH



**WPŁAĆ NA STYPENDIA!
POMÓŻ ZDOLNEJ MŁODZIEŻY Z UBOGICH RODZIN!**

Konto Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia”: 81 1320 1104 2979 6023 2000 0001
www.dzielo.pl

VIII Dzień Papieski 12 października 2008